

Droga nadziei, droga ku wolności

WYBOISTA DROGA DO WOLNOŚCI

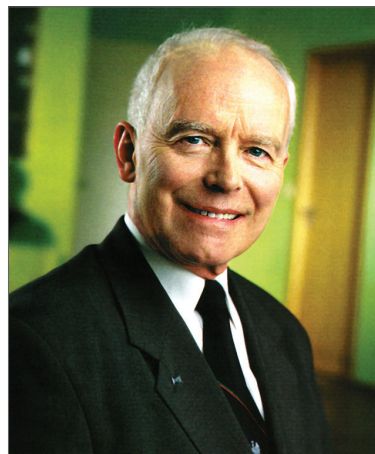
Andrzej Wiszniewski

Aby zrozumieć dzieje „Solidarności” na Politechnice Wrocławskiej, nie wystarczy cofnąć się do strajków sierpniowych, które w roku 1980 utorowały drogę Niezależnemu Samorządnemu Związkowi Zawodowemu. Trzeba sięgnąć znacznie głębiej, pewnie do momentu kapitulacji Festung Breslau i pojawienia się w naszym mieście nowych mieszkańców, którzy już w lipcu 1945 roku rozpoczęli pierwsze naukowe i edukacyjne przedsięwzięcia, a wykładami w dniu 15 listopada tegoż roku zainaugurali regularne zajęcia na Uniwersytecie i Politechnice Wrocławskiej.

Te sześćdziesięcioletnie dzieje Politechniki można podzielić na wyraźne cztery okresy:

- 1945-1968 – okres odbudowy ze zniszczeń, a w życiu uczelni dominacji przedwojennych kadr naukowych, w głównej mierze pochodzących ze Lwowa,
- 1968-1980 – okres szybkiej rozbudowy, przy czym kierownictwo przeszło w ręce młodych komunistów, wychowanych w kuźni ZMP-owskiej i partyjnej,
- 1980-1989 – okres zmagania politycznych między aparatem władzy i opozycją demokratyczną,
- od 1989 – okres III Rzeczypospolitej i samorządności uczelni.

W pierwszym okresie entuzjazm, zarówno kadr akademickich, jak i studentów, mających nadzieję na normalne życie w wolnej Polsce, zaowocował podniesieniem z ruin Politechniki. Profesura lwowska przyniosła ze sobą przedwojenne przekonanie o misji, jaką winny wypełniać wyższe uczelnie, oraz pamięć o organizacji życia naukowego w II Rzeczypospolitej. Przywiozła też lęk przed politycznymi zagrożeniami, jakie niósł ze sobą nowy ustrój wzorowany na radzieckich przykładach. Obawy te szybko się potwierdziły, a represje dotknęły przede wszystkim tych pracowników i studentów, którzy w okresie wojny walczyli w szeregach Armii Krajowej. Niektórzy z nich, tak jak student Wła-



■ Andrzej Wiszniewski

dysław Cisek, zostali uwięzieni i zamordowani w ubeckich katowniach.

Ofensywa propagandowa partii skierowana była przede wszystkim na młodzież. Trudno było dostać się na uczelnię bez przynależności do ZMP, toteż do tej komunistycznej młodzieżówki należało blisko 100 proc. studentów. Mimo szaleństw aktywistów była to masa w ogromnej większości bierna, studenci bowiem woleli słuchać potajemnie Wolnej Europy niż wielogodzinnych drętowych referatów wygłaszanych na niezliczonych zebraniach. Natomiast profesura zamknęła się w katedrach, zajmując się wyłącznie pracą naukową i dydaktyczną. Mimo ogromnych starań aparatczyków upartyjnienie kadr naukowych na Politechnice pozostawało bardzo niskie, a wyniesione z okresu przedwojennego zasady naukowej uczciwości powodowały, że awans akademicki wymagał autentycznych wyników w pracy badawczej. Na tej ścieżce postawiono bowiem dwie przeszkody: doktorat i habilitację (choć przez dłuższy czas wzorem radzieckim tę pierwszą nazywano „kandydaturą nauk”). Tak czy inaczej, na Politechnice Wrocławskiej rekomendacja partyjna nie wystarczała, by wspinać się po szczeblach kariery. Znacznie bardziej liczyły się wyniki naukowe. Ta sytuacja kłuła w oczy partyjnych dostojników, którzy tylko czekali na okazję, aby złamać dominację przedwojennej profesury.

Tymczasem po zajęciach poznańskich w roku 1956 oraz po referacie Chruszczowa o zbrodniach Stalina, po śmierci Bieruta, po powrocie na pierwszy plan Władysława Gomułki oraz w obliczu radzieckiej interwencji na Węgrzech nastąpiło ogromne zaktywizowanie młodzieży studenckiej, tyle że w zupełnie przeciwnym kierunku, niżby tego życzyła sobie partia. Symbolem tego był wielki spontaniczny wiec przed Politechniką w październiku 1956 roku, podczas którego na ogromnym stosie spalono zetempowskie legitymacje. W ten niechlubny sposób zakończyła swe życie organizacja, która nigdy zresztą nie była oficjalnie rozwiązana. Ona się samorzutnie rozpadła. A studenci Politechniki po wiecu maszerowali w ogromnym pochodzie do centrum miasta. Przechodząc koło gmachu Poczty Głównej przy ul. Krasińskiego, na której dachu były zainstalowane zagłuszarki fal radiowych Wolnej Europy, pochód wył, imitując dźwięk zagłuszania, i okrzykami domagał się zakończenia praktyk tłumienia informacji. Potem ruszył do gmachu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (obecnie Teatr Lalek), który został zdemolowany.

Ten studencki ferment chciał wykorzystać politycznie Adam Rapacki, późniejszy minister spraw zagranicznych. Z jednej strony dążył do opanowania spontanicznych protestów młodzieżowych, a z drugiej, mając młodzież obietnicami gomułkowskiej odwilży, chciał stworzyć front poparcia społecznego dla nowego pierwszego sekretarza, którym oczywiście był towarzysz „Wiesław”.

Ale nadzieje na trwałą odwilż okazały się złudne. Z upływem kolejnych lat reżim gomułkowski coraz bardziej dociskał śrubę, będąc wierny maksymie swego przywódcy, że „partia klasy robotniczej raz zdobytej władzy nie odda nigdy”. Ale pośród młodzieży studenckiej poparcie dla tej doktryny było nikłe. ZMP się rozpadło, a powstały na jej gruzach Związek Młodzieży Socjalistycznej skupiał nikły procent studentów. Podobnie zresztą wśród kadry, mimo usilnych starań i przekonywań w stylu: „wstąp, przecież jeśli w partii nie będzie mądrych i porządnych ludzi, to nigdy w tym kraju sytuacja się nie poprawi”, upartyjnienie było nadal bardzo niskie.

Początkiem drugiego okresu w powojennych dziejach Politechniki Wrocławskiej były wydarzenia marcowe. To, co zdarzyło się w Warszawie, a więc zdjęcie z afisza Mickiewiczowskich „Dziadów”, protesty studenckie i brutalne represje ze strony milicji wywołały rezonans w całym kraju. W geście solidarności zastrajkowały wrocławskie uczelnie. Na Politechnice studenci okupowali Gmach Główny, w którym zebrało się około 5000 żaków. Początkowo władze, którym przewodził ówczesny

rektor profesor Zygmunt Szparkowski – człowiek przyzwyczajony, lecz słaby i zniszczony zbyt dużą skłonnością do wysokoprocentowych trunków – uznawały, że to studenckie zgromadzenie jest legalne. Kierownictwo uczelni z jednej strony starało się skłonić wykładowców, by przychodzili do sal okupowanych przez studentów dla przeprowadzenia mniej lub bardziej pozornych wykładów (dla stworzenia pozorów, że strajku nie ma i odbywają się zajęcia, co zresztą zostało przez studentów wyśmiane), z drugiej zaś usiłowały przeforsować rezolucję studencką wiernopoddaną wobec partii i rządu. Usiłowania te zakończyły się kląpą i kompromitacją.

Kiedy wieczorem obradujący Senat uczelni otrzymał nowe instrukcje z komitetu wojewódzkiego partii, rektor zdelegalizował strajk i nakazał opuszczenie gmachu przez studentów. Nigdy wcześniej i nigdy później strajk studencki na Politechnice nie był tak masowy. I nigdy już nie było takich wieców strajkowych, trwających bez przerwy całą dobę w wypełnionej do granic możliwości auli, będących czymś pośrednim między wiecem a koncertem. Trzeba też wspomnieć o masowym poparciu wrocławian dla strajkującej młodzieży. Pracownicy Politechniki, z których większość jadła obiady w stołówce, oddawali blocki obiadowe strajkującym, a mieszkańcy okolicznych dzielnic przynosili dary w postaci najróżniejszych wiktuałów.

Studenci odrzucili wezwanie rektorskie i nie ulegli się groźby milicyjnej pacyfikacji, mimo dramatycznych i histerycznych apeli ze strony niektórych profesorów. Władze jednak nie zdecydowały się na siłowe rozwiązanie i strajk potrwał do końca. O godzinie 11 rano, czyli w terminie zakończenia czterdziestoosmiodzinnej okupacji gmachu, studenci rozeszli się do domów. Ale kierownictwo strajkowe zostało, aby dopilnować posprzątkania gmachu (pamiętam wspaniałą dziewczynę Kaśkę Surmacz oraz późniejszych aktywnych opozycjonistów: Wojtkę Myśleckiego, Mariana Sobierajskiego i Tomka Wójcika).

Spędziłem tę ostatnią noc wraz ze studentami mego macierzystego wydziału, a następnego dnia, już w godzinach przedpołudniowych, miałem wizytę funkcjonariusza SB, którego bardzo interesowało, kto kierował strajkiem i dlaczego ja w nim uczestniczyłem. Z dzisiejszej perspektywy sam się dziwię, że tak spokojnie przyjął moje oświadczenie, że po pierwsze, nie będę wydawał mych studentów, a po drugie, że zawsze jestem tam, gdzie są moi uczniowie.

Wydarzenia marcowe zmieniły układ władzy na Politechnice. Choć nadal nominalnie rektorem był profesor Szparkowski, to faktycznie cała władza przeszła w ręce młodej gwiazdy partyjnej, profesora Tadeusza Porębskiego, który otrzymał ofi-

cialne stanowisko zastępcy rektora. Zdolny, pracowity, ambitny, pragmatyczny i żądny władzy. Przed rozpadem ZMP był uczelnianym przewodniczącym tej organizacji. Później, mimo młodego wieku, został I sekretarzem uczelnianego PZPR. Otaczał się ludźmi swego pokolenia, spośród których tylko jego najbliższy kolega i współpracownik, profesor Wacław Kasprzak, dorównywał mu zdolnościami. Ten duet miał kierować Politechniką przez następnych kilkanaście lat.

Tadeusz Porębski nie chciał, by na Politechnice nastąpiło „polowanie na czarownice”. Sądzę jednak, że w wydarzeniach marcowych dostrzegł dobrą okazję do przeorania struktury akademickiej socjalistycznym lemieszem. Miały temu służyć dwa podstawowe posunięcia. Pierwszym było zburzenie struktury katedralnej i stworzenie dużych jednostek – instytutów, w których władza profesorów, w kampanii prasowej nazywanych feudałami, byłaby mocno ograniczona. Drugim było stworzenie ścieżki awansowej niewymagającej zrobienia habilitacji (tzw. marcowi docenci). Te idee, zrodzone na Politechnice Wrocławskiej, szybko zostały przyjęte w całej Polsce, co uczelnię wrocławską obciążało złą sławą.

Chociaż po marcowym strajku milicja aresztowała kilkunastu studentów, to jednak profesor Tadeusz Porębski starał się wyciszyć echa marcowe. Nie miał też zamiaru dopuścić do antysemickich wyskoków, tak wówczas masowo pojawiających się w całej Polsce. Studentów, z których początkowo kilkuset skreślono z listy, szybko przywrócił w prawach akademickich. Dopiero udział dużej grupy studentów Politechniki w demonstracji pierwszomajowej (tzw. drugi pochód) doprowadził do relegowania kilkudziesięciu osób, co odbywało się w obrzydliwej, policyjnej atmosferze (delikwentów wzywano przed oblicze komisji uczelnianej, w której, o zgrozo, zasiadali także profesorowie, pokazywano zrobione przez milicję zdjęcia z manifestacji pierwszomajowej, kazano, by obwiniony sam się na zdjęciu rozpoznał, i następnie dawano mu pisemko informujące o skreśleniu z listy studentów).

W rok po wydarzeniach marcowych ustąpił ze stanowiska rektora profesor Szparkowski i na jego miejsce mianowano profesora Porębskiego. Zaczął się dla uczelni tzw. okres porębszczyzny, który miał trwać 11 lat. Złośliwi zaczęli nawet nazywać Politechnikę „Berezą Porębską”, co było wielce niesprawiedliwe. Był bowiem rektor Porębski autokratą, ale jednocześnie dbał zarówno o dobro uczelni, jak i o los pracowników. Wyznacznikiem działań rektora była zasada: „Macie mnie ślepo słuchać, skrupulatnie wypełniać dyrektywy opisane w dziesiątkach tomów zarządzeń

(zwanych popularnie „księgami Pana Tadeusza”), a ja o was zadbam – załatwię wyjazd zagraniczny, dam mieszkanie albo talon na samochód”. Ten niebawale pracowity rektor wykorzystał swą bardzo silną pozycję partyjną dla rozpoczęcia ogromnego programu inwestycyjnego na uczelni. Jednocześnie, dobrze rozumiejąc potrzeby współczesnej nauki, rozwijał współpracę międzynarodową, i to nie z uczelniami radzieckimi, lecz z amerykańskimi. Jednocześnie starał się wprowadzić bardzo silną dyscyplinę wewnętrzną na Politechnice. Symbolem zmierzających do tego zarządzeń były słynne trójkątne pieczętki rozdane wszystkim wykładowcom z przykazaniem, by po każdym zajęciach stemplowano notatki studenckie jako dowód obecności, oraz wizjery w drzwiach prowadzących do sal dydaktycznych pozwalające sprawdzić, czy zajęcia w ogóle się odbywają.

Ale ze wszystkimi działaniami unifikacyjnymi i dyscyplinującymi szła w parze ochrona pracowników przed represjami inicjowanymi spoza uczelni, a także swoista tolerancja dla odmiennych poglądów. Sam się z tym zetknąłem, gdy opublikowałem w „Słowie Polskim”, którego redaktorzy nie przepadali za rektorem Porębskim, mocno krytyczny artykuł o porządkach na uczelni. Jego tezą było, że tam, gdzie wszyscy myślą tak samo, pewnie nikt nie myśli. Doczekałem się repliki prasowej jednego z wybitnych profesorów, ale nie spotkały mnie żadne inne przykrości. Na innej uczelni pewnie byłbym wdeptany w ziemię.

Sądzę, że rektor Porębski świetnie wpisywał się w okres wczesnego Gierka. Ale w połowie dekady lat siedemdziesiątych ten monolit zaczął się kruszyć nie tylko w skali kraju, lecz też na Politechnice. Pewnie, że rektor Porębski szybciej niż ktokolwiek inny zrozumiał, że droga, po której kroczył od wczesnej młodości, a która zmierzała do stworzenia nowego, lepszego ustroju, staje się coraz bardziej kręta. Odnosiłem wrażenie, że przed kapitulacją wewnętrzną szukał ucieczki w alkoholu. Ten nałóg potęgował się następnie z roku na rok.

Chociaż Politechnika pozostała bierna podczas wydarzeń na Wybrzeżu w roku 1970 oraz w Radomiu i Ursusie w roku 1976, to jednak i w społeczności uczelnianej pojawiły się pierwsze znaki działalności opozycyjnej. W roku 1977 powstaje Studencki Komitet Solidarności oraz wrocławska grupa Towarzystwa Kursów Naukowych. Działają w nich studenci i pracownicy, zarówno Uniwersytetu, jak i Politechniki. Działają pod własnymi nazwiskami, a mimo to represje, jakie ich dotyczą, mają niewielki rozmiar. Podobnie jak akcja kilku osób z profesorem Idzikowskim, doktorem Myśleckim i doktorem Czochem na czele, którzy

obrócili wniwecz plany Komitetu Uczelnianego partii zmierzające do obsady Komisji Zakładowej ZNP partyjnymi ludźmi. Ten system, który bazował na represjach, zaczął się sypać.

Gdy wybuchły strajki lipcowo-sierpniowe w roku 1980, Politechnika do nich nie dołączyła, była bowiem na wakacjach. Ale wielu nauczycieli akademickich ruszyło do zajezdni na Grabiszyńskiej, aby wesprzeć strajkujące załogi wrocławskich zakładów pracy. Natomiast zaraz po podpisaniu Porozumień Gdańskich powstała na Politechnice Tymczasowa Komisja Zakładowa, której przewodził doktor Tomasz Wójcik. Pracownicy uczelni masowo wypisywali się z ZNP i wstępowali do „Solidarności”, która po trzech miesiącach liczyła już ponad 6000 członków (a pracowników Politechniki było wówczas około 8000). Zaczął się trzeci okres w dziejach Politechniki Wrocławskiej. W wyborach przewodniczącego Komisji Zakładowej niektórzy ludzie chcieli, bym zmierzył się z Tomaszem Wójcikiem, do czego w rezultacie nie doszło. Zresztą, zapewne nie miałyby to wpływu na wynik, który dał Wójcikowi kierownictwo politechnicznej „Solidarności”, a jego kontrkandydat, docent Tadeusz Huskowski, został wiceprzewodniczącym. Tych dwóch wspaniałych ludzi znakomicie kierowało naszym związkiem. Mądrość i rozważa Tadeusza Huskowskiego równoważyła radykalizm i bezkompromisowość Tomka Wójcika. A żadnemu z nich nie brakowało bezgranicznego wręcz oddania sprawie Polski i „Solidarności”.

A wraz z całą Komisją Zakładową stanęli do walki z nie byle jakim przeciwnikiem. Aparat partyjny na Politechnice był niemal tożsamy z kierownictwem uczelni, które nadal leżało w rękach rektora Porębskiego i jego zastępcy prorektora Kasprzaka. Konflikty były codziennością, a na obradach Senatu, w których uczestniczył przedstawiciel „Solidarności” (najczęściej przewodniczący Wójcik), dochodziło do ostrych spięć. Jednak z upływem tygodni i miesięcy „Solidarność” rosła w siłę, łącząc dążenia do demokratyzacji życia społecznego (choć o wolnych wyborach nikt jeszcze nie śnił) z troską o warunki pracy.

W grudniu 1980 roku rektor Porębski odchodził ze stanowiska, zostaje bowiem pierwszym sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego oraz członkiem Biura Politycznego. Na jego miejsce Senat wybiera profesora Bogusława Kędzię, któremu brak bardzo wielu zalet jego poprzednika, toteż bardzo szybko popada w ostry konflikt nie tylko z „Solidarnością”, ale nawet z Senatem.

W styczniu 1981 roku wybuchają studenckie strajki w Łodzi. Rychło rozlewa się na cały kraj z so-

lidarnościowym udziałem także studentów Politechniki Wrocławskiej. Sądzę, że studencka skwapliwość strajkowa wynikała po trosze z tego, że gdy latem poprzedniego roku strajkowały polskie zakłady pracy, oni byli na wakacjach i potem mieli podświadome poczucie, że coś ważnego ich ominęło. Po paru tygodniach uciążliwych negocjacji ministra szkolnictwa wyższego profesora Górskiego z komitetem strajkowym wynegocjowano tzw. porozumienie łódzkie. Dawało ono studentom 1/3 miejsc w senatach, radach wydziałów i instytutów. Szybko się okazało, że jest to raczej uciążliwy i nudny obowiązek niż przywilej. Dlatego też rychło łódzkie ustalenia zaczęto nazywać „łódzkim nieporozumieniem”.

Jednocześnie trwały intensywne prace nad tekstem nowej ustawy o szkolnictwie wyższym. Tyśiące gremiów, zarówno oficjalnych, jak i społecznych, spędzało dziesiątki godzin na dyskusjach nad dezyderatami, które następnie przesyłano do ministerstwa. Któregoś dnia, gdy byłem w tym ponurym warszawskim gmachu na Szucha, mój znajomy zaprowadził mnie do pokoiku, gdzie te dokumenty przechowywano. Cały był zavalony stertami papierów. „Czy ktoś to czyta?” – spytałem naiwnie. „Pan chyba żartuje” – padła odpowiedź. Ale mimo to ustawa – i o dziwo nie najgorsza – powstała. Najważniejsze w niej było prawo uczelni do wyboru władz rektorskich, dziekańskich i dyrektorskich oraz zakaz wkraczania służb porządkowych na teren uczelni bez zgody rektora.

W wyborach dziekańskich zostałem wybrany na stanowisko dziekana Wydziału Elektrycznego. Natomiast na rektora wybrano profesora Tadeusza Zipsera, który we wspaniałym przemówieniu przedstawił wizjonerski program rozwoju Politechniki. Rektor elekt zaproponował mi stanowisko swego pierwszego zastępcy. Zgodziłem się, rezygnując z funkcji dziekańskich. Ponadto prorektorami zostali profesorowie Otton Dąbrowski i Daniel Bem. Funkcję dyrektora Gabinetu Rektora objął doktor Wojciech Myślecki.

Dość charakterystyczne było przekazywanie urzędów przez poprzednią ekipę rektorską. Profesor Bogusław Kędzia nie przekazał niczego swemu następcy profesorowi Tadeuszowi Zipserowi. Mijając go w drzwiach, wręczył mu tylko klucz do rektoratu. Zupełnie inaczej zachował się profesor Waław Kasprzak. Nie tylko przekazał mi wszelkie sprawy związane z działem nauki i współpracy z przemysłem, ale też organizując pożegnanie z personelem swoich pionów, zaprosił mnie na nie, przedstawił współpracownikom i zaapelował do nich o lojalną współpracę z nowym „szefem”. Dla mnie był to dowód, że dla profesora Kasprzaka największe znaczenie ma nie interes partii, lecz dobro uczelni.



fot. Ryszard Poprawski

Współpraca nowych władz rektorskich z „Solidarnością” oraz powstałym Niezależnym Zrzeszeniem Studentów układała się bardzo dobrze. Ogromna w tym zasługa mądrości i rozsądku docenta Tadeusza Huskowskiego oraz słusznego przekonania członków związku, że nowe władze są n a s z e. Dobrze też układały się stosunki z władzami innych uczelni, zarówno wrocławskich, jak i z innych ośrodków akademickich. Zresztą większość tamtejszych rektorów została wybrana głosami członków „Solidarności”.

Bardzo piękną uroczystością była inauguracja nowego roku akademickiego, na której wspaniałe przemówienie wygłosił rektor Tadeusz Zipser. Budził w obecnych nadzieję tak potrzebną, poza murami uczelni bowiem atmosfera gęstniała. Pod koniec października nastąpił strajk w WSI w Radomiu. W tej podrzędnej uczelni wybrano na rektora profesora Hebde, którego zarówno „Solidarność”, jak i NZS uważały za partyjny beton. Legalność tych wyborów została podważona i dla wymuszenia zmiany na rektorskim fotelu studenci oraz pracownicy rozpoczęli strajk. Należy jednak stwierdzić, że spora grupa pracowników broniła profesora Hebdy, a racje obydwu stron były nie do końca przekonujące. Natomiast konsekwencje konfliktu miały skalę ogromną, okupacyjny strajk solidarności z Radomiem rozpoczęli bowiem studenci niemal wszystkich polskich uczelni. Na Politechnice Wrocławskiej okupowano Gmach Główny, co ogromnie dezorganizowało pracę. Zdawałem sobie sprawę, że strajk ten, w zamysle organizatorów skierowany przeciw władzom państwowym, w istocie uderzał w nowo wybrane gremia rektorskie związane z „Solidarnością”. Szybko też uświadomiłem sobie, że strajki „radomskie” są rządowi i partii na rękę – stwarzając atmosferę chaosu, stają się dowodem, że nowe władze uczelniane nie są w stanie rządzić, a „Solidarność” sieje zamęt w kraju. Zrozumiałem to wówczas, gdy opracowałem bardzo szczegółowy plan kompromisowe-

■ Spotkanie Tymczasowego Komitetu Założycielskiego NZS ze studentami Politechniki Wrocławskiej. Od lewej przodem do sali: Jacek Leśków, Wojciech Pluto, 1.10.1980

go rozwiązania kryzysu radomskiego i przedłożyłem go członkowi Rady Państwa, profesorowi Szczepańskiemu. Początkowo był zainteresowany, ale po paru dniach stał się nieuchwytny, a jego telefon zamilkł.

Dalszym krokiem w kierunku eskalowania konfliktów był strajk w Wyższej Szkole Pożarnictwa w Warszawie. Tu także Politechnika Wrocławska wystąpiła z projektem rozwiązania kompromisowego, zobowiązując się do przyjęcia na studia wszystkich dotychczasowych studentów tej uczelni. Ale władze zignorowały nasze propozycje i wołały zastosować rozwiązanie siłowe.

Pod koniec listopada 1981 roku rolę mediatorów w konflikcie radomskim przyjęło na siebie Kolegium Rektorów Uczelni Technicznych. Po negocjacjach odnosiliśmy wrażenie, że kompromis jest tuż-tuż. Aby podpisać ostateczną wersję porozumienia i zakończyć okupację wielu uczelni, Kolegium zebrało się 11 grudnia w Łodzi. Jednak zamiast delegacji reprezentującej tych, którzy stali po stronie profesora Hebdy, na Politechnikę Łódzką wpłynął przesłany przez nich teleks, w którym deprecjonowali usiłowania rozwiązania tego konfliktu przez rektorów. Zrozumieliśmy, że musieli dostać takie polecenie od swych mocodawców i może to świadczyć o niebezpiecznym rozwoju sytuacji. Rektorzy sformułowali komunikat o wycofaniu się z roli mediatorów, obciążając odpowiedzialnością stronę „hebdzistów”, ale ten tekst nie został nigdzie opublikowany, 36 godzin później wprowadzono bowiem stan wojenny.

W nocy z 12 na 13 grudnia moja córka obchodziła swe urodziny. Jeden z jej gości, syn wysokiego

rangą oficera, powiedział mi na boku, że gdy wychodził na tę imprezę, ojciec nakazał mu, by pod żadnym pozorem nie chodził nocą po mieście. A o 7 rano córka obudziła mnie słowami: „Tato, w Polsce wprowadzono stan wojenny”. Za oknami słychać było warkot i chrzęst czołgów, które wyjeżdżały z położonej nieopodal Szkoły Oficerskiej im. Tadeusza Kościuszki.

Jadąc na Politechnikę, nie wiedziałem, co zastać. Na wybrzeżu Wyspiańskiego uświadomiłem sobie, że na cienkiej warstwie spadłego w nocy śniegu koła mojego samochodu zostawiają pierwszy ślad. Na uczelni było pusto, jeśli nie liczyć przerażonych portierów uszczęśliwionych tym, że nareszcie pojawił się ktoś z władz. Kazałem zamknąć gmach, nie wpuszczać obcych ludzi, a sam udałem się do Komisji Zakładowej „Solidarność”, mieszczącej się w gmachu D-1. Tam było już paru członków Komisji, którym przewodził Marek Muszyński, oraz studenci reprezentujący NZS z Bernardem Afeltowiczem na czele, którzy dwa dni wcześniej zakończyli „strajk radomski”. Zapadła decyzja o strajku okupacyjnym w dwóch miejscach: w Gmachu Głównym (A-1) oraz w budynku elektrycznym (D-1). Strajk miał się rozpocząć o godzinie 14, a przewodniczącym Komitetu Strajkowego został Marek Muszyński. Jego zastępcami byli Bernard Afeltowicz, reprezentujący studentów, oraz ja, reprezentujący władze Politechniki. O strajku tym napisano już tak wiele, że zbędne jest powtarzanie tych relacji. Chciałbym tylko rozwiać niektóre mity, które na ten temat krążą.

1. Strajk nie był masowy. W A-1 liczba strajkujących wahała się od 700 do 900, zaś w D-1 – od 150 do 300. W Gmachu Głównym większość stanowili studenci.
2. Strajk był bardzo dobrze zorganizowany, głównie dzięki sprawności studentów.
3. Ustalenia z władzami wojskowymi (por. Szałaciński) były takie, że strajk zakończy się bez użycia siły przez policję i wojsko. Miała nastąpić demonstracja siły przed Politechniką i wezwanie do zakończenia strajku. Wówczas strajkujący mieli udać się do auli na krótki wiec, a następnie dobrowolnie opuścić gmach. Ustaleń tych władze nie respektowały.
4. Jest mało prawdopodobna pogłoska, że agenci bezpieki obecni wśród strajkujących wpuścili ZOMO do gmachu, otwierając drzwi do podziemi. Choć zapewne w gmachu byli agenci SB, to jednak sądzę, że byli zbyt przestraszeni, aby dokonać takiej dywersji. Przebieg ataku zomowskiego był inny. Po wyłamaniu przez pojazd opancerzony stalowych drzwi na podwórzu (od strony ul. Łukasiewicza) zomowcy wybili okna i wdarli się na korytarz Gmachu Głównego.

5. Zomowcy byli brutalni i hałaśliwi. Pogłoska o stosowaniu przez władze wywołujących takie zachowanie środków farmakologicznych nie znalazła potwierdzenia. Sądzę, że ich brutalność była głównie wynikiem strachu. Ostatecznie było ich kilkudziesięciu, a strajkujących kilkuset. Na dodatek propaganda władz bzdurzyła o ukrytej broni, jaką miała dysponować „Solidarność”. Bali się, więc byli brutalni.
6. Zmarły podczas akcji pan Tadeusz Kostecki upadł tuż koło mnie, gdy bity pałkami tłum studentów chciał wyjść z gmachu przez główne wejście, a krata je przegradzająca była zamknięta. W tym momencie byłem odwrócony do niego tyłem, lecz od naocznego świadka słyszałem, że został uderzony przez zomowca, który krzyknął: „Tobie, stary, też się zachciewa”. Gdy w związku z tą śmiercią już następnego dnia zrelacjonowałem to stwierdzenie oficerowi Wydziału Kryminalnego KW MO, nie wywołałem tym najmniejszych prób weryfikacji tych faktów.
7. To prawda, że pośród strajkujących był kapłan. Dominikanin, ojciec Ludwik Wiśniewski (wspomniał człowiek, duszpasterz i patriota), przebywał cały czas w gmachu D-1, ale msze święte odprawiał w obydwu strajkujących gmachach.
8. To prawda, że podczas wiecu strajkowego rankiem w gmachu D-1, a było to już po rozbiciu przez ZOMO strajku w Gmachu Głównym, nagle spod podłogi w amfiteatralnej sali 301 pojawiła się postać ukrywającego się tam człowieka będącego aktywistą „Solidarność” Rolników Indywidualnych. Znalazł tam schronienie przed internowaniem i apelował (wbrew moim namowom), by strajku nie przerywać.

15 grudnia trzeba było przystąpić do porządkowania Gmachu Głównego, który wyglądał jak po tsunami. Należało też ukryć archiwa „Solidarność” i NZS oraz wykupić kilku studentów i pracowników, którzy zatrzymani podczas strajku zostali skazani na grzywny przez kolegium do spraw wykroczeń. Do dziś nie wiem, skąd wzięły się na to pieniądze, ale mogłem nimi zapłacić, by uwolnić z aresztu ukaranych.

W kilka dni później wezwano mnie do Warszawy, gdzie w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego odbył się swoisty sąd. Ministra już nie było, profesor Nawrocki zrezygnował bowiem z tej funkcji, mówiąc, że nie będzie zwalniał swych kolegów – profesorów. Ze mną rozmawiała silna grupa: wiceminister Sablik, komisarz wojskowy ministerstwa generał Włodarczyk oraz dyrektor departamentu pan Derentowicz. Było to wręcz przesłuchanie w esbeckim stylu. Coś obrzydliwego. Na koniec poinformowano mnie o odwołaniu z funkcji prorektora, czego zresztą się spodziewałem. Po paru dniach odwołano także rektora Zipsera. Jemu pis-

mo z dymisją wręczyła, o ile dobrze pamiętam, pani wojewoda Wielebińska.

A dla Wrocławia nadeszły najbardziej ponure dni. Wielu pracowników Politechniki ukrywało się przed aresztowaniem (Marek Muszyński, Kornel Morawiecki, Tomasz Wójcik). Podobnie kilku studentów (m.in. szef NZS-u Rafał Guzowski ze swą koleżanką – a następnie żoną – Dorotą Bochen oraz Paweł Kasprzak). W ostatnich dniach grudnia za rozklejanie ulotek aresztowano studenta Grzegorza Książczaka. Sąd wojskowy skazał go na 3 lata, co zresztą zwiększono do lat 4. A 2 stycznia nocą SB zorganizowało wielką branke pośród studentów. Zatrzymano, a następnie internowano kilkadziesiąt osób; podobno akcja ta nosiła kryptonim „Sokół”. Dwa dni później aresztowano i także internowano kilkudziesięciu pracowników wyższych uczelni oraz placówek oświatowych. Ta właśnie akcja, w której i ja trafiłem na listę internowanych, nosiła podobno kryptonim „Szok”. Chyba naprawdę SB chciało zaszokować Wrocław, pośród internowanych bowiem był między innymi i wielki matematyk profesor Stanisław Hartman, i rektor Tadeusz Zipser, i prorektor AWF profesor Tadeusz Bober, i znany poeta wrocławski Lothar Herbst, i dyrektor III LO Daniel Manelski, i reżyser telewizyjny Czarek Łagiewski oraz wielu innych wrocławskich intelektualistów. Po kilku dniach, spędzonych najpierw w więzieniu na Łąkowej, a potem w gmachu więzienia na Kleczkowskiej, całe to towarzystwo przewieziono do obozu dla internowanych w Nysie.

Internowani próbowali zagospodarować swoje aresztanckie życie zgodnie z tradycjami polskich jeńców wojennych w okresie II wojny światowej, ale też wyczekiwali zwolnienia, którym esbecy mamili na częstych przesłuchaniach.

Pod koniec stycznia Tadeusz Huskowski, Andrzej Olszewski, Zdzisław Przywoźny, Bernard Afeltowicz oraz ja zostaliśmy przewiezieni do wrocławskiego aresztu śledczego. Rozpoczęły się przygotowania do wielkiego procesu, który ulica nazwała „procesem Politechniki”. Rozpoczął się 1 marca w największej sali gmachu sądów. Ponad 100 przestępstw wydawano imiennie, chętnych bowiem do obserwowania było bardzo wielu. Obecne były wszystkie wrocławskie media. Władze chciały uczynić z tego proces pokazowy, który miał zastraszyć społeczeństwo i udowodnić, że nikt nie jest bezpieczny. Ale plany te zawiodły. Gdy oskarżonych wprowadzano na salę, konwój nie mógł przepchać się przez sądowe korytarze, wypełnione tłumem wiwatującym na cześć aresztantów. Na sali przed ławą oskarżonych leżały olbrzymie naręcza kwiatów. To nie sędziowie byli bohaterami dnia, ani tym bardziej milicjanci czy esbecy. Sąd był w składzie zawodowym: S. Tarkowski,

M. Karsznia i A. Ciastoń. Oskarżał prokurator A. Gajewski, całkowicie ubezwłasnowolniony przez swego szefa, prokuratora Kremisa. Obronę wzięli na siebie znakomici adwokaci: S. Afenda, M. Gliwa, J. Sobczak, D. Derkowska, R. Woźniak i H. Rossa. Tu trzeba podkreślić, że w stanie wojennym wrocławska adwokatura zapisała bardzo piękną kartę. Wielka w tym zasługa mec. Aranki Kiszyny, która była swoistym rozprawczym: jeśli ktoś trafiał do zespołu adwokackiego, szukając obrońcy w sprawach politycznych, to właśnie mec. Kiszyna znajdowała dla niego najlepszego i najuczciwszego adwokata. Ci wspaniali ludzie nie brali żadnego honorarium. A była to śmietanka wrocławskiej palestry.

Wszystkie 13 rozpraw w procesie Politechniki wyglądały tak samo. Wśród widzów zasiadali biskup Adam Dyczkowski, znakomici prawnicy z wrocławskiego Uniwersytetu, z profesorami Hubertem i Kolasą na czele, mnóstwo wspaniałych ludzi okazujących oskarżonym przyjaźń i solidarność. Świadkowie powołani przez prokuratora zeznawali tak, jak gdyby byli świadkami obrony. Gdy w ostatnim dniu procesu sąd miał udać się na naradę, z ław publiczności wyskoczyła bratanica jednego z sędziów i świszczącym szeptem zawołała: „Jeśli ich skazecie, nie odezwę się do ciebie nigdy w życiu”. Mowy obrończe, a przede wszystkim ta, którą wygłosił mec. Afenda, były mądre i bardzo piękne. Sądzę, że właśnie to społeczne poparcie dla oskarżonych sprawiło, że wszystkie wyroki orzeczono z zawieszeniem i oskarżonych zwolniono z aresztu. Wyrok został zaskarżony do Sądu Najwyższego zarówno przez prokuratora, jak i obrońców. Decyzją Sądu Najwyższego było przekazanie sprawy do ponownego rozpatrzenia. I tu znamienna sprawa: władze tak bardzo bały się ponownych demonstracji solidarności z oskarżonymi, że sprawę przekazano do Sądu Wojewódzkiego w Opolu, aby – jak to zostało napisane w uzasadnieniu – „uniknąć wybuchu niepokoju społecznych”. Trzeba – wybiegając w przyszłość – powiedzieć, że Sąd Wojewódzki w Opolu orzekający w czerwcu 1983 roku pod przewodnictwem sędziego A. Polańskiego, bardzo przyzwoitego człowieka, uniewinnił wszystkich oskarżonych. Wściekłość partii i SB była ogromna i doprowadziła do rewizji nadzwyczajnej Prokuratora Generalnego i kolejnej rozprawy przed Sądem Najwyższym, orzekającym w 11-osobowym gronie. Znowu wyrok, tym razem opolski, uchylono i przekazano sprawę do ponownego rozpatrzenia. Amnestia z grudnia 1983 roku zakończyła ten kontredans.

Natomiast poza murami więzień rozpoczął się społeczny opór przeciw działaniom junty Jaruzelskiego. Politechnika była w czołówce działań opo-

zycyjnych. Muszyński i Morawiecki natychmiast włączyli się do działań RKS-u, przy czym Kornel Morawiecki, uznając działania tego gremium prowadzonego przez Władysława Frasyniuka za zbyt bierne, już w połowie roku oderwał się i stworzył Solidarność Walczącą. Szczególnie w początkowym okresie bazą tej organizacji byli ludzie z Politechniki Wrocławskiej: Hania Karniej, Wojciech Myślecki, Romuald Nowicki, czy też Halina Łopuszańska.

Ale Politechnika była nie tylko kuźnią liderów wrocławskiego podziemia solidarnościowego. To był jeden wielki kocioł nielegalnej działalności, i to tak bardzo zróżnicowanej i wielowątkowej, że nawet esbecki oficerowie obiektowi (kpt. Stanisław Niessner oraz por. Marek Mandecki) nie byli w stanie rozeznaczyć się w tej zadziwiającej płątanie. Obok działalności Tajnej Komisji Zakładowej, podlegającej Regionalnemu Komitetowi Strajkowemu, oraz silnych struktur Solidarności Walczącej na Politechnice bowiem miało swe źródło mnóstwo niezależnych inicjatyw, rodzących się z pomysłów i energii poszczególnych pracowników. Bardzo duży procent członków „Solidarności” regularnie płacił składki, zbierane przez przewodniczących Komisji Oddziałowych. Docierały do nich pisma podziemne, a przede wszystkim: „Z dnia na dzień”, „Biuletyn Informacyjny”, „Solidarność Walcząca”, „Biuletyn Dolnośląski” oraz „Tygodnik Mazowsze”. W ten sposób „Solidarność” miała ogromny wpływ na opinie i postawy pracowników uczelni. Na Politechnice powstawały urządzenia dla Radia „Solidarność”, był jeden z punktów drukarskich „Z dnia na dzień”, a pokoje bardzo wielu pracowników były wprost składnicami pism podziemnych, książek wydawanych poza zasięgiem cenzury czy też znaczków i plaketek opozycyjnych. W gmachu D-1, w którym był mój gabinet, ta działalność była prowadzona niemal jawnie, a tacy ludzie, jak śp. Jacek Klinec-wicz, Eugeniusz Korejwo czy też Eugeniusz Roso-łowski, pewnie więcej czasu poświęcali działalności podziemnej niż pracy zawodowej.

Rola i zakres konspiracyjnych działań na Politechnice wzrosły, gdy po aresztowaniu Frasyniuka, a potem w krótkich odstępach Bednarza i Piniora, kierownictwo RKS spoczęło w rękach „Witolda”, czyli Marka Muszyńskiego (rok 1983). W skład RKS wszedł także nieoceniony Tadeusz Huskowski oraz Tomasz Wójcik. Ci ludzie korzystali z więzi zawodowej i przyjacielskiej łączącej ich z pracownikami Politechniki.

Przykładem skutecznej działalności TKZ Politechniki były wybory rektorskie w roku 1984. Mimo że

sprawujący funkcję rektora profesor Wacław Kasprzak okazał się przyzwoitym i mądrym człowiekiem, „Solidarność” nie mogła dopuścić, by człowiek mianowany na stanowisko przez partię, której był członkiem, otrzymał mandat demokratycznych wyborów. I właśnie związek sprawił, że ku zaskoczeniu wielu ludzi – a partii przede wszystkim – na rektora wybrano profesora Jana Kmity. Dziś można powiedzieć, że był to dobry wybór, rektor Kmita postępował bowiem według swej dewizy: „Jestem elastyczny, ale nie plastyczny”.

Ale ponadto powstawały dziesiątki rozmaitych inicjatyw, z których ja znałem tylko drobną częsteczkę. Chciałbym niektóre z nich przywołać.

Profesor Krzysztof Pigoń koordynował pracę wrocławskiego oddziału Społecznego Komitetu Nauki. Janek Waszkiewicz szefował Społecznemu Komitetowi Oświaty, a Andrzej Olszewski Społecznemu Komitetowi Ekologii. Ja miałem zaszczyt przewodniczyć dolnośląskiemu porozumieniu tych niezależnych komitetów. Porozumienie to ustanowiło nagrodę „Solidarności” (1986) i było kapitułą przyznającą to wyróżnienie za działalność niezależną w obszarach: nauki, oświaty, kultury, zdrowia oraz ekologii. Laureatami tej nagrody byli między innymi Tadeusz Huskowski oraz Kornel Morawiecki.

To na Politechnice (w sali 329 gmachu D-1) po śmierci księdza Jerzego Popiełuszki spotkali się liczni działacze opozycyjni z Wrocławia, zakładając Komitet Obrony Praw Człowieka. Działalność ta była półjawna, ale władze z najwyższą energią ten komitet rozbiły.

To właśnie pracownicy Politechniki w naturalny sposób byli pomostem łączącym RKS oraz Solidarność Walczącą, łagodząc dość naturalnie występujące niesnaski. Dzięki ich mediacji i pośrednictwu doszło do spotkania Marka Muszyńskiego i Kornela Morawieckiego, co z jednej strony zakończyło okres sporów, a z drugiej zapewniło lepszą koordynację działań konspiracyjnych.

Profesorowie Politechniki, a mianowicie: Krzysztof Pigoń, Bohdan Chorowski, Henryk Hawrylak, Tadeusz Luty, Romuald Nowicki, Wojciech Suski, Tadeusz Zipser i Andrzej Wiszniewski, wchodzili w skład powstałej w 1986 roku Tymczasowej Rady Wrocławskiego Środowiska Naukowego. Rada ta inicjowała wiele akcji, takich jak pisanie petycji i listów protestacyjnych, oraz, reprezentując większość wrocławskich uczelni, wpływała na postawy wrocławskiej profesury.

Pracownicy Politechniki prowadzili dziesiątki wykładów i prelekcji w świątyniach, salkach przykościelnych, czy też prywatnych mieszkaniach. To na Politechnice zrodziła się idea cyklu spotkań nazywanych Akademią Praw Człowieka (1986), które odbyły się pod patronatem oo. franciszkanów na Karłowicach.

Pracownicy Politechniki współwydawali literackie pismo „Obecność”, a po katastrofie w Czarnobylu – ekologiczne pismo „Zagrożenie”.

To na Politechnice w roku 1986 po osławionej weryfikacji pracowników przez Komisję Rektorsko-Partyjne zrodziła się idea opłatka akademickiego, która entuzjastycznie poparta przez Duszpasterstwo Akademickie (ksiądz Andrzej Dziełak) została zaakceptowana przez księdza kardynała Henryka Gulbinowicza. Te doroczne spotkania opłatkowe trwają do dzisiaj.

To na Politechnice zrodził się pomysł, by siedemdziesięciolecie odzyskania Niepodległości uczcić budową pomnika Orląt Lwowskich. Idea ta, którą przełożył na działanie rektor Jan Kmita, zyskała aprobatę księdza kardynała Henryka Gulbinowicza i Kolegium Rektorów Uczelni Wrocławskich. Pomnik ten, pod który kamień węgielny położono 11 listopada 1988 roku, a odsłonięto rok później, stoi do dzisiaj.

To tylko mały fragment tych inicjatyw i działań, jakie rodziły się i realizowały na Politechnice. Kompletna ich lista jest zapewne wielokrotnie dłuższa. Działania te były przerywane częstymi zatrzymaniami przez SB na 48 godzin, wyrokami kolegów do spraw wykroczeń, rozmowami ostrzegawczymi, co jednak tym bardziej rozbudzało energię i pomysłowość do dalszych działań opozycyjnych. Także represje o niewielkiej zresztą skali, głównie odmowy wydania paszportu na wyjazdy stypendialne czy konferencyjne, nie osłabiały opozycyjnego ducha.

Lata aktywności opozycyjnej w ramach wojny polsko-jaruzelskiej trwały niemal całą dekadę lat osiemdziesiątych. Sądzę, że wydarzeniem, które je zakończyło, było reaktywowanie jawnej działalności „Solidarności” na Politechnice (1988). Co prawda działał jeszcze RKS i SW, a zarówno Marek Muszyński, jak i Kornel Morawiecki – po swym powrocie z zesłania zagranicznego – jeszcze się nie ujawnili, co prawda były jeszcze rozmaite imprezy opozycyjne, w których brali udział pracownicy uczelni (np. nowohucka Konferencja Praw Człowieka w sierpniu 1988 roku), ale jednak rozpoczęcie jawnej działalności przez związek znaczyło nową epokę. Nie wiedzieliśmy wówczas, że będzie to epoka, w której powstanie III Rzeczpospolita, ale też która zaznaczy się brutalną walką o władzę ludzi, którzy wyrosli z działań opozycyjnych i „Solidarności”. Nie wiedzieliśmy też, że rozpoczął się okres kurczenia NSZZ „Solidarność”, która z dziesięciomilionowego związku w roku 1981 zmalała do około 800 tysięcy członków obecnie. Nie wiedzieliśmy, że członek PZPR będzie sprawował funkcję prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej przez 10 lat, a przemalowani na socjaldemokratów byli komuniści będą rządzić Polską przez lat kilka.

I nie wiedzieliśmy, że cię esbeckich działań i donosicielstwa będzie nas prześladować jeszcze 15 lat po tym, jak młodziutka aktoreczka obwieściła w telewizji, że komunizm się skończył.

Tym bardziej okres, w którym hasło „precz z komuną” było wspólnym mianownikiem dla bardzo wielu, tworząc niewiarygodnie silną opozycję, trzeba zachować od zapomnienia. Dotyczy to przede wszystkim Politechniki Wrocławskiej. O ile Polska bowiem była niewątpliwie najbardziej opozycyjnym państwem w bloku krajów zwanych „demoludami”, to Wrocław był najbardziej opozycyjnym polskim ośrodkiem walki z reżimem. A Politechnika Wrocławska – najsilniejszym i najbardziej aktywnym w antyreżimowych działaniach zakładem wrocławskim. Dlatego też proszę nie poczytać mi tego za nadmierny patriotyzm lokalny, jeśli stwierdzę, że Politechnika Wrocławska była najsilniejszym antyreżimowym ośrodkiem w całej Europie Wschodniej. A jeśli nawet tą palmą pierwszeństwa trzeba się z kimś podzielić, to i tak zapisanie historii politechnicznej opozycji będzie hołdem składanym tym wielu ludziom, którzy nie bacząc na własne bezpieczeństwo, pozostali wierni „Solidarności” w najtrudniejszym okresie lat osiemdziesiątych.

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA – PIERWSZA!

Kornel Morawiecki

I. Wprowadzenie

Okres jawnej i podziemnej „Solidarności”, przełomowa dla Polski i Europy dekada 1980-1989, wymaga podjęcia krytycznych, porównawczych badań historyczno-socjologicznych, zarówno w aspektach ogólnych, jak i poszczególnych ośrodków, ruchów i organizacji. Dotychczasowy dorobek w tym zakresie jest, moim zdaniem, więcej niż skromny.

Komunizm nie zawalił się sam – na życzenie trzymających władzę komunistów, ich potakiwaczy i pochlebców. Nie zabił go na śmierć Ronald Reagan – pokerowym blefem gwiazdnych wojen. Nie zestrzelili go afgańscy mudżahedini amerykańskimi rakietami. Nie rozbiła go informatyczna, komputerowa bomba, do okiełznania której nie był ideologicznie przygotowany. Nie spopielił go żar Świętego Ducha, o zstąpienie którego modlił się za nas i z nami Jan Paweł II w 1979 roku na placu Zwycięstwa w Warszawie. Choć wszystkie powyższe czynniki miały niezaprzeczalny wpływ na upadek tego niewydolnego i zbrodniczego sy-



■ Kornel Morawiecki

stemu, to zasadniczy cios zadali mu Polacy zorganizowani w i wokół fenomenu „Solidarności”. Pytania o narodowe, historyczne, kulturowe i socjologiczne uwarunkowania, które doprowadziły do wybuchu i trwania pokojowej solidarnościowej „refolucji” (tak, zdaje się, pierwszy nazwał ten połączony proces reformy i rewolucji angielski historyk idei Timothy Garton Ash), wykraczają poza ramy tego okazjonalnego artykułu.

Tu chciałbym szczególnie podkreślić rolę jednej składowej wielkiego ruchu „Solidarności” – rolę zorganizowania. Najpierw w skali całego narodu. Przypomnijmy, jak bardzo ówczesne komunistyczne władze, którym nie udało się uśmierzyć strajków, dążyły do ich zlokalizowania, osobnego dogadywania się z protestującymi (osobnego w Szczecinie, osobnego w Gdańsku). W niepowodzeniu tej taktyki kluczowa rola przypada właśnie Wrocławowi i całemu Dolnemu Śląskowi. To nasz makroregion jako pierwszy w kraju dołączył do strajkujących na Wybrzeżu. Wówczas, poprzez niestawianie własnych żądań, tylko poparcie 21 postulatów gdańskich oraz błyskawiczną organizację dolnośląskich zakładów w jednym Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym, lokalny gdański, szczeciński i elbląski powiew wolności przeistoczył się w wiatr nad Polską. Niemożliwa stała się powtórka z miesiąc wcześniej zażegnanego buntu strajkujących w Lubinie, Świdniku i Lublinie. Po sierpniu 1980 wszelkie próby zawierania osobnych regionalnych porozumień, okalania i kawałkowania właśnie rodzącego się związku okazały się nieskuteczne.

Ogólnopolska „Solidarność” strukturalizowała się w regionach, branżach, rozprzestrzeniała się na rolników i studentów, przenikała poziomymi strukturami rządzącą partię (PZPR). Jej oddziały-

wanie obejmowało rodzący się ruch związkowy w Milicji Obywatelskiej, w terenowych i centralnych ośrodkach państwowej administracji. Głowy podnieśli ludzie szczególnie kontrolowanych mediów – telewizji, radia, prasy, związków twórczych i całej szeroko rozumianej kultury. Jednak przez całe krótkie 16 miesięcy matecznikami i rozsądnikami tamtej niesamowitej epidemii wolności i solidarności były wielkie zakłady pracy. Tam kształtowała się i hartowała autentyczna demokracja, samorządność i podmiotowość społeczna. Tam po raz pierwszy państwo stało się naprawdę nasze. Ludzie brali swoje sprawy (nie tylko swoje, także tych, którzy – jak służba zdrowia czy nauczyciele – byli ograniczani publicznymi powinnościami) w swoje ręce. Wydaje się, że można za prawdziwe uznać zdanie: „bez Zakładowych Komisji »Solidarności«, bez ludzi z nimi współpracujących nie byłoby »Solidarności« lub skończyłaby się ona niczym...”. Zdanie to pozostaje prawdziwe, a może nawet prawdziwsze po wprowadzeniu stanu wojennego, po zepchnięciu „Solidarności” do podziemia.

II. Teza główna

Nic mi nie wiadomo o żadnych kompleksowych badaniach czy choćby wycinkowych próbach ustalenia rankingu dużych (np. liczących co najmniej 2000 pracowników) zakładów pracy pod kątem ich wkładu w rozwój i trwanie „Solidarności” oraz całego długoletniego oporu społecznego w dekadzie 1980-1989. Próba rzetelnego ustalenia takiej kolejności byłaby oddaniem sprawiedliwości i hołdu rzeszom bezimiennych najczęściej, cichych zakładowych bohaterów, dzięki którym wielki poryw wolności, jakim była „Solidarność”, zdmuchnął komunizm.

Na tych łamach pozwolę sobie postawić następującą tezę: zakład, w którym wtedy pracowałem, Politechnika Wrocławska, wzmocniony działalnością swoich studentów, zająłby w takim ogólnopolskim rankingu pierwsze miejsce – przed Stoczną Gdańską, przed Nową Hutą (Hutą im. Lenina), przed Ursusem, przed Pafawagiem. Ten swój sąd postaram się poniżej przybliżyć i uargumentować.

III. Uzasadnienie

Zacznę od banalnych, ale zdaje się powszechnie nieznanych faktów. Licząca około 7,5 tysiąca pracowników Politechnika Wrocławska (z których ponad 95 proc. należało do „Solidarności”) miała na I Krajowym Zjeździe „Solidarności” 5 delegatów wybranych na Walnym Zebraniu Delegatów Regionu Dolny Śląsk. Byli to doktorzy: Jan Waszkiewicz, Tomasz Wójcik, Andrzej Zarach i niżej podpisany (Kornel Morawiecki) oraz mgr Stani-

sław Huskowski. I cóż w tym szczególnego? Ano to, że delegaci na I Krajowy Zjazd „Solidarności” w hali Olivii byli wybierani w proporcji 1 na 10 tysięcy członków „Solidarności” w Regionie. I takiej pięcioosobowej nadreprezentacji w tamtym najważniejszym dla związku gremium nie miał żaden kilkakrotnie liczniejszy i symboliczniej postrzegany zakład w Polsce. Ani Stocznia Gdańska czy Szczecińska, ani Huta Katowice, ani żadna z kopalni, ani FSO Żerań. Z tych politechnicznych delegatów dwóch weszło do najściślejzego Krajowego Kierownictwa Związku. Jan Waszkiewicz do dwunastoosobowego Prezydium Komisji Krajowej (do Prezydium, z klucza, wchodziło jeszcze 6 przewodniczących największych Regionów), Andrzej Zarach do trzyosobowego Prezydium Krajowej Komisji Rewizyjnej. Żaden inny zakład pracy nie miał dwuosobowej reprezentacji w tak wysokich władzach związku. Może Stocznia Gdańska z Lechem Wałęsą jako przewodniczącym Komisji Krajowej.

To przez Politechnikę Wrocławską za pośrednictwem „Biuletynu Dolnośląskiego”, redagowanego i kolportowanego w znacznej części przez pracowników i studentów Politechniki Wrocławskiej, dotarło do I Krajowego Zjazdu „Solidarności” przesłanie Moskiewskich Wolnych Związków Zawodowych, na co odpowiedzią było słynne „Posłanie »Solidarności« do Narodów Europy Wschodniej”, o ponad 8 lat wyprzedzające i zapowiadające Jeseień Ludów z roku 1989.

Przedstawiciele Politechniki Wrocławskiej – Jan Waszkiewicz i Kornel Morawiecki – sformułowali i doprowadzili do uchwalenia podczas pierwszej tury zjazdu siedmiopunktowej zasadniczej odezwę do członków związku, a potem, już w liczniejszym gronie, uczestniczyli w pracach nad programem związku.

Wracam do początków „Solidarności” we Wrocławiu i Regionie. Kilku pracowników i studentów Politechniki Wrocławskiej związanych z „Biuletynem Dolnośląskim” drukowało 21 postulatów gdańskich, redagowało i kolportowało ulotki, wzywając do poparcia protestu Wybrzeża. Osoby te wspomagały utworzony 26 sierpnia 1980 roku Międzyzakładowy Komitet Strajkowy przy VII Zajeźdni we Wrocławiu. Inna grupa pracowników nieomal nazajutrz po 31 sierpnia utworzyła Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej.

Za legalnej pierwszej „Solidarności” wielu studentów i działaczy z Politechniki uczestniczyło w pracach Regionu, zawiązywało i wspomagało

różnorakie środowiskowe inicjatywy. Były to setki osób. Zarówno wybrane za jawnej „Solidarności” władze uczelni, jak i działacze związku na Politechnice dobrze zasłużyli się we wzmacnianiu pozycji i znaczenia „Solidarności” we Wrocławiu, w Regionie i w całej Polsce.

Ale najtrudniejszy egzamin przyszedł po 13 grudnia 1981 roku i trwał przez długie lata podziemnego społecznego oporu. Politechnika Wrocławska – jako jedna z nielicznych uczelni w kraju – już 13 XII zaczęła strajk okupacyjny, wkrótce rozbiły zomowską przemocą. Procent internowanych i aresztowanych pracowników i studentów Politechniki w pierwszych miesiącach stanu wojennego sytuuje się z pewnością w górnych pułapach dla analogicznych wskaźników z innych dużych zakładów pracy. Natomiast twierdzę, że podziemna długotrwała aktywność na Politechnice nie miała sobie równych w całej Polsce. To w dużym stopniu ludziom Politechniki Wrocławskiej, zarówno pracownikom, jak i studentom, zawdzięcza Wrocław zaszczytne, ogólnie przyjęte miano bastionu „Solidarności”. Oni od pierwszego dnia stanu wojennego wydawali i kolportowali podziemne „Z dnia na dzień” (ukazujące się 3 razy w tygodniu), pisma zakładowe i studenckie, „Biuletyn Dolnośląski”, a następnie – od czerwca 1982 roku – „Solidarność Walcząca” i różnorakie związane z nią wydawnictwa. Oni współorganizowali demonstracje uliczne, budowali nadajniki i emitowali audycje radiowe oraz megafonowe, konstruowali odbiorniki do nasłuchu MO i SB, prowadzili i rozszyfrowywali ten nasłuch przez całe lata. Oni utrzymywali łączność między ukrywającymi się działaczami związku. W zupełnie niespotykanej w żadnym innym zakładzie skali zbierali składki związkowe, materialnie i duchowo wspierali rodziny uwięzionych (także z innych zakładów) i ukrywających się. Myślę, że nie było ani uczelni, ani kopalni, ani huty, ani fabryki, w której tak wielka część członków i sympatyków jawnej „Solidarności” prowadziłaby tajną związkową i studencką aktywność przez tak długi, wieloletni czas – praktycznie do samego 1989 roku.

Lecz to nie wszystko. W olbrzymim stopniu z inicjatywy osób pracujących na Politechnice we Wrocławiu zawiązała się Solidarność Walcząca. Najpierw w połowie 1982 roku wydająca tygodnik o takiej nazwie, a następnie rozprzestrzeniająca się na cały Dolny Śląsk i na większość dużych polskich miast tajna, aktywna organizacja niepodległościowa. Jedyna, która jawnie stawiała w swym programie sprawę pokonania komunizmu, wolności Polski, rozpadu ZSRR i wyzwolenia republik sowieckich (w szczególności Litwy, Ukrainy i Bia-

lorusi), zjednoczenia Niemiec, która głosiła solidaryzm bliski poglądom wielu członków ówczesnej „Solidarności”. Poprzez nacisk swej symbolicznej i realnej obecności Solidarność Walcząca podnosiła poprzeczkę społecznych żądań. I kiedy w 1989 roku przy Okrągłym Stole władza zawarła umowę z ugodową częścią „Solidarności”, być może właśnie względnie wysoki poziom ustępstw ze strony rządu wymuszony obecnością takiej struktury jak Solidarność Walcząca uruchomił społeczną lawinę, która najpierw w Polsce, a następnie w całym sowieckim bloku zmiotła komunizm.

Na czele obu współpracujących i rywalizujących ze sobą struktur podziemnych na Dolnym Śląsku – Regionalnego Komitetu Strajkowego i Solidarności Walczącej – przez długie lata osiemdziesiąte stali pracownicy Politechniki Wrocławskiej – Marek Muszyński od kwietnia 1983 do 1987 roku i Kornel Morawiecki od czerwca 1982 do 1990 roku.

Połowa członków założycieli Solidarności Walczącej, którzy przez ponad 7 lat stanowili trzon kierownictwa organizacji, były to osoby związane z Politechniką Wrocławską. Muszę podać ich nazwiska: Hanna Łukowska-Karniej – pracownica Biblioteki, Maria Koziebrodzka – asystentka Instytutu Matematyki, Jan Pawłowski – pracownik administracyjny Instytutu Matematyki, Michał Gabryel – adiunkt Instytutu Nauk Społecznych, Cezary Lesisz – student oraz ja, Kornel Morawiecki. Do grona tego doszli następnie dwaj najwybitniejsi i najofiarniejsi członkowie Komitetu Wykonawczego Solidarności Walczącej: Wojciech Myślecki z Instytutu Telekomunikacji i Andrzej Zarach z Instytutu Matematyki.

Do osób z Politechniki Wrocławskiej, z którymi blisko współpracowałem czy to jako wydawca „Biuletynu Dolnośląskiego” oraz „Z dnia na dzień”, czy potem jako przewodniczący Solidarności Walczącej, pozwolę sobie zaliczyć:

Jana Waszkiewiczza, Halinę Łopuszańską, Krystynę i Ryszarda Nowakowskich, Kazimierza Suszyńskiego, Tadeusza i Stanisława Huskowskich, Arka i Małgorzatę Dobrowolskich, Barbarę Stępnia, Bogdana i Marię Aniszczaków, Wojciecha Bartoszkę, Andrzeja Kisielewicz, Jerzego Peisserta, Włodzimierza Strzemińskiego, Zbigniewa Stańczyka, Hilarego Petryszyna, Magdalenę Rutkowską, Barbarę i jej syna Jacka Rokowskich, Bronisława Florakiewicza, Tomasza Wójcika, Tadeusza Zipsa, Andrzeja Wiszniewskiego, Piotra Plenkiewicza, Izidora Statkiewicza, Tomasza Truszkowskiego, Jana Ferencowicza, Lucjana Achremowicza, Krzysztofa Skudlarskiego, Gabryelę Dowgird, Jacka Leśkowskiego, Zbigniewa Jagiełłę, Tomasza Dudka, Przemysława Cieszyńskiego, Bogdana Jankowskiego, Mirosława

Szretera, Stanisława Osadnika, Ryszarda Jasińskiego, Sławomira Najnigiera, Bogdana Giermka, Liliannę Janicką, Ewę Gorzkowską, Mariana Krzemińskiego, Teresę Czarnecką, Czesława Strzyżę, Beate Kucharską, Bożenę i Mariusza Szechińskich, Bożenę Chrobot, Bogdana Pawlika, Jacka Kowalskiego, Janusza Łojka, Rajcę (studenta), Eugeniusza Korejwo, Stanisława Mitka, Tergalskyego, Krystynę i Stanisława Szostaków, Wandę Gładysz, Włodzimierza Wnuka, Andrzeja Pilawskiego, Natalię Jagodzińską, Krystynę Żebrowską, Wandę Kozia, Marię Walczak, Jerzego Pietraszkę, Jacka Garncarza, Annę Truszyńską, Marię Trąbską, Janusza Hilgerta. Są to ci, których sobie na gorąco, z wdzięcznością przypominam. Tych, których nazwisk nie pamiętam, a może nawet nie znałem, a którzy mieli ze mną osobiste konspiracyjne kontakty (i mnie pamiętają), proszę o wyrozumiałość.

W tym okolicznościowym tekście nie zdołałem wypunktować wszystkich aspektów podziemnej, anonimowej najczęściej pracy podejmowanej przez środowiska związane z Politechniką Wrocławską. Zwróciłem się do trzech osób z Politechniki, z którymi miałem w podziemiu znaczący, choć przecież nie najbliższy kontakt, z prośbą o przypomnienie sobie i podanie nazwisk ich współpracowników. Poprosiłem o to wyrzuconego w latach osiemdziesiątych za swą podziemną działalność z Instytutu Nauk Społecznych Wojciecha Winciora (1), jedną z dublerek Hanny Łukowskiej-Karniej, pracownicę Biblioteki Politechniki Alicję Iwaniuk (2) oraz ówczesnego studenta, kolportera „Biuletynu Dolnośląskiego”, Macieja Dziubańskiego (3). Mogłem oczywiście zwrócić się do większej liczby osób o podanie ich kolegów działających w „Solidarności” czy Solidarności Walczącej, ale moim zamiarem była jedynie ilustracja tezy głównej tego opracowania. Poniżej przytoczę wyrywkową, jak się zastrzegli moi przyjaciele, wskazaną przez nich listę. (Nie będę powtarzał nazwisk, które podałem sam lub które powielają się w otrzymanych spisach).

A więc:

(1) Generalnie podziemna działalność studencka na Politechnice Wrocławskiej koncentrowała się wokół pięciu grup:

- Wojciech Rozwadowski (student architektury związany z izolowanym Bernardem Afeltowiczem) tworzyli oni Akademicki Ruch Oporu, wydawali gazetkę „ARO”. Po roku ich działalność powoli wygasła.
- Krzysztof Błachut (student inżynierii sanitarnej), radykalny, z kontaktami w środowisku robotniczym OKO (Ogólnopolski Komitet Oporu), inicjujący różne grupy, skończył w Solidarności Walczącej.

- Wiesław Żywicki (student elektroniki), działalność samokształceniowa związana z młodzieżą działającą z Kościołem („Pod Czwórką”).
- Paweł Kasprzak (student Podstawowych Problemów Techniki), związany z Klubem Uniwersytetu Wrocławskiego „Progres”.
- Rafał Dutkiewicz, związany z Kornelem Morawieckim i Władysławem Frasyniukiem, po wypadce którego przeniósł się na Katolicki Uniwersytet Lubelski.

To byli studenci liderzy, działali też: Jacek Szumielewicz, Krzysztof Kowalski, Bogdan Michaluk, Mirosław Janisz, Rafał Guzowski. Należy też wspomnieć przynajmniej o dwóch działaczach SZSP: Bogdanie Granickim i Leszku Lawerze – ten ostatni przekazał powielacz SZSP na potrzeby podziemia. Teraz pracownicy Politechniki Wrocławskiej, w tym szczególnie ofiarne kobiety, o których się mało wspomina: Teresa Witkiewicz, Aleksandra Kutowska, Barbara Wiatrzyk-Hydzik, Ewa Żółkiewicz, Wiesława Surażska, Elżbieta Szulgan, Teresa Grabińska, Mirosław Zabierowski, Maciej Dymkowski, Maciej Kałuszyński, Jan Szczygielski (mimo członkostwa w PZPR), Nina Krasko.

(2) Niepełna lista osób, z którymi współpracowałem (głównie pracownice Biblioteki): Bożena Grocholska, Małgorzata Bylińska, Anna Pacholska, Teresa Koniaszewska, Danuta Krawczyk, Urszula Sufleta, Grażyna Piotrowicz (nazwisko obecnie po mężu), Jadwiga Maćkówka, Ewa Kisiel, Mariusz Mieszkalski, Artur Omachel, Waldemar Kras.

(3) Nazwiska działających w podziemiu studentów i pracowników Politechniki Wrocławskiej: Jacek Watral, Jarosław Trawiński, Dorota Pietrukanić, Jacek Głowinkowski, Grzegorz Żurek, Przemysław Koelner, Dorota Bochen, Jarosław Szawlis, Zbigniew Skorupa, Agnieszka Kocprzak, Jarosław Kłoczko, Stanisław Malik, Adam Zagórski, Krzysztof Kowalski, Andrzej Pytlak, Witold Machalski, Adam Wawrzyniak, Adrian Worutowicz, Elżbieta Segal, Maria Wyzga, Katarzyna Wyzga, Krystyna Ciekot, Stanisław Jabłonka, Urszula Janus, Jadwiga Szymonik, Jadwiga Kaluscha, Tadeusz Orłowski, Andrzej Pszonka, Krzysztof Sosna, Ryszard Śnieżyk, Krzysztof Wojtyło, Ryszard Baranowski, Włodzimierz Bromirski, Andrzej Idzikowski, Andrzej Mulak, Zdzisław Przywoźny, Łukasz Wojewoda, Andrzej Olszewski, Tadeusz Luty.

Po przedstawieniu tej wyrywkowej listy (dalece niepełnej), podanej przeze mnie i paru innych konspiracyjnych kolegów, wracam na zakończenie do głównego tematu. Wiem, że prezentowana tu teza o pierwszeństwie Politechniki Wrocławskiej w szeroko pojętej solidarnościowej oraz podziemnej aktywności i roli pośród innych dużych

zakładów pracy w Polsce jest subiektywna i może być kwestionowana. Gdy poważne studia, których mamy prawo oczekiwać od historyków i badaczy zjawisk społecznych, tezy tej nie potwierdzą, niechby ona właśnie była zachętą i wyzwaniem do takich badań. Sam w szczególności dobrze wiem, że trudno Politechnikę Wrocławską porównywać z naznaczonymi strasznymi represjami kopalniami Górnego Śląska („Wujek”, „Piast”, „Manifest Lipcowy” i inne) oraz lubińskiego zagłębia miedziowego. Gdyby na naszą uczelnię spadły podobne ciosy, nie wiem, jak byśmy i czy w ogóle byśmy wytrzymali. Na szczęście nie spadły.

Mimo że wśród nas, jak wszędzie, byli też tchórze i kapusie, to jako całość Politechnikę Wrocławską trzeba uznać za przykład wytrwałości, pomysowości i odwagi, zarówno w jawnej, jak i podziemnej solidarnościowej aktywności. Cieszę się, że jako skromny pracownik tej uczelni mogłem przyłożyć swą cząstkę do naszego wolnościowego solidarnego dzieła.

SERCE ZABIŁO MOCNIEJ!

Stanisław Huskowski

Był 23 albo 24 sierpnia 1980 roku. Po dziesięciu dniach pobytu z dala od cywilizacji, w drodze powrotnej do domu usłyszałem pierwsze wiadomości radiowe: na Wybrzeżu, w Stoczni Gdańskiej i innych zakładach samowolne przerwy w pracy...

Serce od razu zabiło mocniej! Będąc członkiem opozycji demokratycznej (współpracownikiem Komitetu Samoobrony Społecznej Komitetu Obrony Robotników) wiedziałem, że wracać do domu nie mogę. W jednym z mieszkań odnalazłem Kornela Morawieckiego i innych kolegów z podziemia. Włączyłem się w druk ulotek, redagowanie „Biuletynu Dolnośląskiego”, kolportaż materiałów wzywających do strajku.

Po wybuchu strajku we Wrocławiu kilkakrotnie byłem w VII Zajeźdni, wspomagając i doradzając, przenosząc różne materiały.

Rano 1 września poczułem działanie Porozumienia Gdańskiego – z Krzysztofem Turkowskim „odbierałem” Olka Gleichgewichta z milicyjnego aresztu. Potem organizacja pierwszych spotkań, szkoleń dla ludzi tłumnie przybywających na plac Czerwony. Byłem w grupie, która w pierwszych dniach września zorganizowała „dział informacyjny” w siedzibie Międzyzakładowego Komitetu Za-



■ Stanisław Huskowski

łożycielskiego, pomagający organizować związkowe komórki w zakładach pracy. Jeździliśmy także tam, gdzie strajków nie było, a pojedynczy pracownicy zastraszani przez sekretarzy PZPR i dyrekcje prosili o pomoc w zorganizowaniu związku.

Upoważnieni przez Międzyzakładowy Komitet Założycielski rozpoczęliśmy wydawanie „Komunikatów”, przekształconych później w związkowy dwutygodnik „Solidarność Dolnośląska”. Nawal pracy zmusił mnie do wzięcia urlopu bezpłatnego na uczelni.

Wiosną 1981 roku na Zakładowym Zebraniu Delegatów NSZZ „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej zostałem delegatem na Walne Zebranie Delegatów „Solidarności” regionu dolnośląskiego, a tam w czerwcu wybrano mnie do Zarządu Regionu i jego Prezydium. Zostałem też rzecznikiem prasowym Regionu i delegatem na Zjazd Krajowy. Latem 1981 roku brałem udział w akcjach promocyjnych na rzecz przejmowania zarządzania zakładami przez rady pracownicze – współorganizując spotkania i wiece.

Jesień to ciągłe zmagania z cenzurą (chciała zamknąć rozchodzącą się w dziesiątkach tysięcy „Solidarność Dolnośląską”) oraz z dezinformacją coraz bardziej napastliwych gazet: „Gazety Robotniczej” i „Słowa Polskiego”. Odpowiadałem też za kontakty zagraniczne Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego i wydarzenia kulturalne (obchody 11 listopada i spektakl „Sen pogardy”).

W grudniu wziąłem udział w akcji wycofania z banku i ukrycia 80 milionów złotych związkowych pieniędzy. Małym fiatem mojego ojca odebraliśmy wraz z Józefem Piniorem trzy walizki banknotów i ukryliśmy w mieszkaniu ówczesne-

go arcybiskupa, metropolity wrocławskiego Henryka Gulbinowicza.

Stan wojenny zastał mnie w szpitalu na placu Katedralnym. Kiedy pod koniec grudnia ukazał się w gazecie list gończy, musiałem opuścić szpital i zacząć się ukrywać. W połowie stycznia 1982 roku rektor profesor Jerzy Schroeder zwolnił mnie dyscyplinarnie z Politechniki Wrocławskiej z powodu niestawiania się w pracy.

Złapany przez SB w „kotle” na ul. Budziszynskiej na początku marca zostałem internowany w ośrodku w Grodkowie.

Sierpień 1980 roku i następne 16 miesięcy były najważniejszym i najpiękniejszym okresem w moim życiu. Dowodem, że człowiek, a nawet cały naród, może wspiąć się na wyżyny prawdziwej solidarności i bezinteresowności. Do dziś dziękuję Bogu, że miałem szczęście żyć i być aktywnym w tak wspaniałym czasie, którego wiele pokoleń nie miało szansy doświadczyć.

TO JUŻ 25 LAT...

Ludomir Jankowski

Prośba o napisanie wspomnień z mijającego dwudziestopięciolecia „Solidarności” zmusiła mnie do głębszego zastanowienia nad podstawową kwestią: o czym pisać? Czy o najważniejszych faktach tego okresu wytyczających drogę przebytą przez „Solidarność”, a w szczególności naszą organizację zakładową? A może o kulisach kilku zdarzeń z życia związku, w których osobiście uczestniczyłem, albo podsumować swoje 25 lat w „Solidarności”?

■ Ludomir Jankowski



Kluczowym problemem jest to, że często bardzo szczegółowo pamiętamy pewne zdarzenia o marginalnym znaczeniu, a te istotne pozostają jedynie we fragmentach. Przykłady? Do dziś pamiętam numer rejestracyjny brązowego fiata 125p (XU1669), którym funkcjonariusze SB zawieźli mnie na przesłuchanie 29 lipca 1982 roku, a jednocześnie nie potrafię „zinwentaryzować” wszystkich funkcji pełnionych w związku. Nie pamiętam szczegółów uchwały programowej KZD z 1995 roku (Gdańsk), ale pamiętam, że około północy kończyliśmy jej redagowanie z E. Lewicką (i Marianem Krzaklewskim „wiszącym” nad głową, bo zjazd się kończył...). I jak tu wspominać bez dat, faktów, nazwisk i dokumentów? Niech się więc tym zajmą historycy. Ta ułomna pamięć bywa niekiedy wręcz przekleństwem. Bo jak inaczej nazwać to, że widząc dziś niektórych pracowników Politechniki, pamiętam, że swego czasu (czyt. za komuny) uczestniczyli oni w prześladowaniu (sławetny proceder wstrzymywania paszportów, awansów) społeczności naszej uczelni, a obecnie funkcjonują – często w pełnym blasku jupiterów – jako jej ikony? Czy można jedynie pamiętać politycznie poprawne wypowiedzi osób deklarujących swój udział w historii „Solidarności” na Politechnice Wrocławskiej, a zapomnieć o wypowiedziach – tych nieoficjalnych – obnażających de facto w tej osobie przeciwnika (jeśli nie wroga), co gorsza – żywiącego pogardę dla osób o niższym statusie w uczelnianej hierarchii? Takich pytań-wątpliwości mógłby każdy z nas przytoczyć wiele, ale chyba ważniejsze jest zdefiniowanie największej wartości wynikającej, w moim przypadku, z 25 lat bycia w „Solidarności”. Tą wartością niezmiennie są ludzie, których dane mi było poznać i wspólnie działać w imię tych wartości, które w statucie związku nie zmieniły się od lat. Niestety, niektórzy opuścili nasze szeregi, bo taka była wola Najwyższego. Wymienię więc tylko trzech kolegów: śp. docenta Tadeusza Huskowskiego, którego mądrych rad brakuje chyba nam wszystkim, śp. Ryszarda Radomskiego, z którym wiele lat pracowaliśmy w komisjach senackich Politechniki Wrocławskiej, głównie w związku ze statutami naszej uczelni, i śp. Stanisława Jabłonkę, który zjawiał się jak duch po jedną czy dwie strony tekstu („wiesz, na jutro... – przyjdę”), a z którym nawet po dłuższym niewidzeniu zaczęliśmy rozmowę tak, jak gdyby była to kontynuacja wczorajszej dysputy. Nie chcę oceniać ich wkładu w budowę związku w uczelni, jego przetrwanie i już „pokojową” egzystencję. Wiem, że wielu z nas wskaże również inne postacie zaświadczone o tym, czym była i jest „Solidarność”, ta prawdziwa, niemanipulowana przez polityków. Jedno nie ulega wątpliwości, siłą „Solidarności” nie były bojówki, pieniądze czy układy. Jej

siłę zawsze stanowili, stanowią i będą stanowić ludzie tworzący tę organizację. I jeśli nadal, pomimo często istotnych różnic w poglądach politycznych, ocenie działalności związku czy stopniu zaangażowania społecznego, jesteśmy razem i potrafimy ze sobą rozmawiać, to jest nadzieja dla „Solidarności”, a tym samym dla Polski.

Mąci ją w moich oczach łatwy do stwierdzenia fakt: mimo młodego „wieku” związku mało jest w jego szeregach ludzi młodych! Dlaczego tak się dzieje? No cóż, chyba to my, pokolenie dwudziesto- i trzydziestolatków z 1980 roku, zbyt ufały swojej nieomyślności i wierzymy w swoje możliwości, oczekując od młodych pokornego ustawiania się w kolejce („bo przecież nie mają doświadczenia”). Znamienne – odzwierciedlamy w ten sposób to, co dzieje się na uczelni („Dziekan w okolicach czterdziestki? Toż to kuriozum”), ale czy to dobrze? Dla związku, w dłuższym okresie, z pewnością nie (dla uczelni też)! Niech więc to moje wspomnienie-niewspomnienie będzie jednocześnie apelem do wszystkich działaczy: jeśli w Waszym otoczeniu jest ktoś młodszy, aktywny, to pomóżcie mu zająć swoje miejsce! Niech to będzie prezent na następne 25 lat dla „Solidarności”!

Na zakończenie coś bardziej osobistego. Z 25-letniej przynależności do „Solidarności” wynika dla mnie poczucie uczestnictwa w ruchu, który zwyciężył za życia tego pokolenia, które rozpoczęło walkę. To także przekonanie, że opowiedziałem się po właściwej stronie, po stronie suwerennej Polski, z wszystkimi zaletami i przywarami demokracji. Ale też i zobowiązanie wobec poprzednich pokoleń, aby nie zmarnować tej części ich dorobku, który stanowił w 1980 roku zaczątek rewolucji „Solidarności”.

JA MEDIUJĘ, TRAMWAJE JEŹDŻĄ

Andrzej Olszewski

Rozmowa z Andrzejem Olszewskim, byłym wiceprzewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej, wieloletnim członkiem Senatu Politechniki Wrocławskiej, wiceprezydentem Wrocławia w latach 1990-1994.

– Zasiadał Pan w Senacie jako przedstawiciel adiunktów i przed stanem wojennym, i w stanie wojennym. Gdy Pan i Pana koledzy z różnych powodów tracili mandat, odbywały się ponowne wybory i znów zostawaliście senatorami z woli wyborców. Miał Pan poczucie triumfu po każdym powrocie?



■ Andrzej Olszewski

– Na pewno było to na swój sposób miłe, tak jak miłe było powitanie mnie przez senatorów, gdy po procesie wróciłem z więzienia na uczelnię.

– Nikt nie próbował majstrować Pana więzienną biografią w celu odebrania mandatu?

– Tego do końca nie wiem, choć jakieś manewry na pewno musiano wykonywać. Pamiętam natomiast, jak po wybuchu elektrowni atomowej w Czarnobylu, to był kwiecień 1986 roku, wydałem podziemne pismo „Zagrożenie”, w którym jako energetyk chciałem wytłumaczyć, dlaczego doszło do tragedii. Popytałem znajomych z sanepidu i lekarzy o skutki zdrowotne katastrofy czarnobylskiej, robiłem wywiady z ludźmi, którzy przyjechali stamtąd i poddawali się badaniom. Pismo miało w sumie mniej niż 10 numerów, w kolejnych poruszałem tematy związane z zagrożeniem środowiska, między innymi sprawę likwidacji hałdy siechnickiej. W październiku 1986 roku, w czasie przeprowadzonej weryfikacji pracowników naukowych, w moim „świadectwie moralności” I sekretarz partii w instytucie wnioskował o negatywną ocenę mojej „postawy obywatelskiej”, bo wydałem czasopismo, w którym pozwalałem sobie na zamieszczanie niezależnych opinii ekologicznych, a także jestem „sygnatariuszem oświadczenia, które ukazało się w podziemnym piśmie »Solidarności Walczącej« z 17-24.03.1985, a będącego platformą programową politycznego porozumienia sił i organizacji dążących do »demokratycznej i niepodległej Polski«”. Ten tekst, pisany odręcznie, trafił do komisji ocen, ta zaś uznała, że wciąż nadaję się na pracownika naukowego, ale musi to być jeszcze zweryfikowane przez komisję rektorską. Rektor Jan Kmita dążył jednak do tego, by krzywdy człowiekowi nie zrobić. Zresztą, pan rektor przez całą swą kadencję uczynił wiele, by mitygować nieco zbyt „ambitne” kroki tzw. komisarzy. Wracając do pytania, mogę powiedzieć, że choć znany był nasz

rodowód i poglądy, za przekonania – jako senator – nie musiałem cierpieć. Mój kolega, również przedstawiciel adiunktów w Senacie – Aureliusz Mikłaszewski – wciąż poruszał na posiedzeniach temat odmów paszportowych, domagał się wyjaśnień, podania klucza tych odmów, czym niezłe zalał partyjniakom za skórę. Zresztą, nigdy mu nie odpowiadzieli.

– Władza chciała na okrągło tą właśnie grupą naukowców manipulować, jakby tylko Wam było przypisane postępowe myślenie. Czym można uzasadnić ten upór?

– Profesorowie i docenci zawsze byli, po pierwsze, bardziej zachowawczy, a po drugie – wszelkie próby ustawowe ograniczania pola manewru dotyczyły właśnie adiunktów, wobec których chciano wytworzyć ustawiczną atmosferę zagrożenia, choćby utratą miejsca pracy.

– Byliście tylko garstką niepokornych, więc musieliście zdawać sobie sprawę, że zbyt wiele nie osiągniecie.

– Wiedzieliśmy, oczywiście, zwłaszcza że w niektórych sprawach wręcz nie mieliśmy prawa głosu, np. w sprawach stricte naukowych. A w głosowaniach „pozanaukowych” i tak staliśmy na przegranej pozycji przy sile głosów profesorów i docentów.

– Wróćmy do Pańskiego pierwszego wojennego posiedzenia Senatu. Wchodząc na salę, miał Pan poczucie uczestniczenia w forum swobodnej wymiany poglądów, czy też wyczuwało się wojenną atmosferę przygnębienia i zniechęcenia?

– Przyznam, że tego pierwszego wrażenia już nie pamiętam. Wiem natomiast, jak duże poruszenie na naszej uczelni i nie tylko, zarówno wśród tych „za”, jak i „przeciw”, wywarł nasz proces, którego sposób prowadzenia był bardzo nietypowy, jako że przez cały czas odbywała się na sali manifestacja jedności z oskarżonymi, manifestacja sprzeciwu wobec stanu wojennego. Publiczność reagowała żywiołowo, klaskała, wręczała nam kwiaty – to wszystko dało się odczytać jako sympatia do nas, i była to niewątpliwa presja na sąd. Nawet świadkowie oskarżenia, łącznie z sekretarzami partii, byli w zasadzie świadkami obrony. Może ich zeznania nie świadczyły wyraźnie na naszą korzyść, ale na pewno miały nie zaszkodzić. W ten sposób całe oskarżenie opierało się na zeznaniach tzw. oficera obiektowego, który nigdy się na procesie – ani tym we Wrocławiu, ani rewizyjnym w Opolu – nie pokazał. Odczytano jedynie jego zeznania.

Gdy wróciłem do pracy i do Senatu, czułem sympatię ze wszystkich stron. W Senacie nie zauważyłem ani ze strony rektora, ani innych senatorów jakichś gestów, które mógłbym odebrać jako wrogie czy choćby niechętne. Przez wiele lat pra-

cowałem w komisjach zajmujących się przyznawaniem nagród dla pracowników, wnioski były rozpatrywane bez politycznego podtekstu, a przewodniczący komisji, jakby dmuchając na zimne, nieodmiennie pytał mnie, czy mam coś przeciwko takiej a nie innej propozycji. Żadnych szykan nie zaznałem; inna sprawa, że nawet nie próbowałem starać się o wyjazd za granicę.

– Wiadomo, myślimy „partia”, w domyśle paszport?

– Z tym się nawet nie walczyło! Na pociechę zostaje fakt, że strajk na uczelni w dniach 13-15 grudnia wstrząsnął Komitetem Uczelnianym PZPR. Wielu towarzyszy oddało wtedy legitymacje (choć część odebrała je potem po cichu), wielu zeszło na drugi plan i nie zamierzało wrócić do pierwszego szeregu działaczy, a pierwszy szereg zajęli krzykacze w rodzaju osławionego doktora Eugeniusza Myszy, który miał poczucie bycia kimś ważniejszym od rektora i nawet całego Senatu. Co tu dużo gadać – to wszystko była szkoła Porębskiego. Niemniej jednak, gdy wyszedłem z więzienia, ówczesny I sekretarz KU spotkał mnie w stołówce i zaproponował, byśmy kiedyś usiedli przy jakiejś herbacie, razem z prof. Andrzejem Wiszniewskim, i pogadali. Do spotkania nie doszło, ale intencje były miłe.

– Czy próbowaliście – oficjalnie lub nieoficjalnie – zorientować się, jak funkcjonują inne senaty w wyższych uczelniach w kraju?

– W 1982 i 1983 roku raczej nie. Potem mieliśmy stowarzyszenie adiunktów i zawiązaliśmy nielegalną strukturę – Ogólnopolską Komisję Porozumiewawczą Nauki (z czasem przemianowaną na Krajową Sekcję Nauki NSZZ „Solidarność”). Spo-

tykaliśmy się w różnych miejscach w kraju. Na czele OKPN stał profesor Robert Głębocki z Uniwersytetu Gdańskiego, późniejszy minister edukacji. Ja byłem wiceprzewodniczącym.

– Nikt Wam nie przeszkadzał?

– Chodzili za nami różni smutni panowie, ale nie przeszkadzali, bo chyba nie mieli na nas paragrafu. Gdy zaś po śmierci księdza Jerzego Popiełuszki założyliśmy na Politechnice z grupą przyjaciół nieformalną grupę „Non violence” (bez przemocy), wzywano nas do Urzędu Wojewódzkiego i grożono palcem, że my już mamy tak zabagnioną kartotekę, a wciąż nie spokornieliśmy.

– Przypadkiem nie przyszło Panu do głowy, by machnąć ręką na Senat?

– Nawet jeśli przychodziło, to jednak miałem mandat załogi i trudno było go zlekceważyć, a ponadto Senat to jednak było liczące się źródło informacji i nie było powodu, by się od niego odcinać.

– W końcu pożegnał Pan uczelnię – z ulgą?

– W 1990 roku zostałem wiceprezydentem Wrocławia pierwszej kadencji, na uczelni miałem bezpłatny urlop i zachowałem jedną czwartą etatu. Po 4 latach wróciłem na swoje miejsce. Zorientowałem się, że ten okres intensywnej pracy po kilkanaście godzin dziennie, gdy podejmowało się dziesiątki ważkich decyzji, to był rejs po wzburzonym morzu, podczas gdy uczelnia jawiła się jako spokojny staw porośnięty rzęsą. Zaczęło mnie mierzwić to, że nie podejmuję żadnych decyzji, gdy więc po roku ogłoszono konkurs na dyrektora Oddziału Regionalnego Izby Gospodarczej Ciepłownictwo Polskie – czyli w mojej branży – wzięłem w nim udział, wygrałem i nadał, mimo przejścia na emeryturę, sprawuję tę funkcję. I to jest znacznie ciekawsze od tego, co miałem robić na Politechnice.

– Z 25 lat „Solidarności” na Pana przypada pierwszych 10 lat aktywności związkowej w latach 1980-1989, co pozwoliło Panu przeżyć euforię założycielską, zwątpienie wojenne, apatię i odrodzenie. Czy dziś jest Pan chociaż związkowcem?

– Jestem szeregowym członkiem, składki do dziś płać na uczelni. Po powrocie z magistratu trudno byłoby z marszu wejść w istniejące struktury, dlatego dłużej nie byłem działaczem.

– W sumie po tylu latach aktywności w związku pełni Pan jakby funkcję komentatora.

– Przyznam, że jestem trochę rozczarowany rzeczywistością. Gdy byłem politykiem, musiałem szukać ścieżek nieodpowiadających mojej mentalności. Dlatego nie chcę być więcej politykiem. Związek wciąż darzę wielką sympatią, a on to chyba odwzajemnia, bo byłem kilkakrotnie proszony jako mediator do rozwiązywania konfliktów we wrocławskim MPK między „Solidarnością” a zarządem spółki. Gdy strony konfliktu nie mogą się dogadać, przed strajkiem wzywają mediatora.



archiwum MOZ NSZZ „Solidarność” przy MPK

– A obecny zarząd MPK to ani chybi dawni działacze „Solidarności”?

– Ależ oczywiście! Tyle że zwykle obie strony chcą postawić na swoim, dlatego potrzebują rozjemcy. Gdy byłem wiceprezydentem, los postawił mnie, byłego związkowca, już po paru miesiącach oko w oko z „Solidarnością” w MPK. Chodziło oczywiście o wynagrodzenia, bo załoga od dawna nie miała podwyżek, ale działał już ten okropny popiwek, który za każdą złotówkę podwyżki nakazywał pracodawcy oddanie pięciu złotych fiskusowi. Uznałem racje pracowników i zdecydowałem się na tę podwyżkę, uzyskawszy ministerialne zapewnienie, że spłatę popiwku rozłożą miastu na raty, a część uda nam się umorzyć. Od tego czasu MPK ma do mnie zaufanie, związkowcy nawet zgłosili moją kandydaturę na ministerialną krajową listę mediatorów. Mogę zatem być w każdej chwili poproszony w dowolny zakątek kraju do rozwiązywania konfliktu.

– Jest Pan skuteczny?

– Skoro tramwaje wciąż jeżdżą, znaczy, że chyba tak jest.

– Dziękujemy za rozmowę.

JUBILEUSZOWE REFLEKSJE

Jan Waszkiewicz

„Solidarność” z perspektywy ćwierćwiecza – temat niby prosty, ale komplikuje go uwikłanie we wszystko, co nastąpiło później, zarówno w indywidualnym, jak i zbiorowym życiu. Do tego dochodzi nuta nostalgii, zrozumiała przy wszystkich wspomnieniach – w roku 1980 byliśmy o wiele lat młodszy i naiwniejsi, a niektóre z nich liczyć trzeba podwójnie. Dlatego pisząc te refleksje, podpieram się wieszczem, który w naszej kulturze stworzył niedościgniony wzorzec nostalgicznych wspomnień, pisanych z jeszcze większego oddalenia.

...bo tęsknię po tobie

Dla ludzi mojego pokolenia przeżycia tamtego okresu stanowią punkt odniesienia dla wszystkiego, co nastąpiło później. Truizmem jest już łączenie w jedną całość uniesień, które towarzyszyły Polakom od pamiętnego październikowego popołudnia 1978 roku, gdy dowiedzieliśmy się o wyborze Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową, aż do nocy 13 grudnia, choć oczywiście cały ten okres rozpada się na wyraziste podokresy z tak znaczącymi wybuchami społecznej aktywności, jak papieska wizyta w czerwcu 1979, sierpień 1980 czy kolejne kryzysy związane z rejestracją i funkcjonowaniem „Solidarności”. Papieski wątek wspominaliśmy niedawno w związku ze śmiercią Jana



■ Jan Waszkiewicz

Pawła II. Teraz pora na Sierpień i to, co nastąpiło po nim.

Przedtem jednak były letnie miesiące, podczas których chaotyczna fala strajków przelewała się przez Polskę. Informacje o tym, czerpane z wieści gminnej i Wolnej Europy, były głównym tematem rozmów, przynajmniej w środowisku, w którym się obracałem. Już samo natężenie tej fali było niezwykłe, ale nic nie zapowiadało takiego jej zakończenia – gwałtownej i spontanicznej krystalizacji niezadowolenia społecznego wokół jądra kondensacji, którym stała się gdańska stocznia.

W czasie gdy rozpoczął się strajk w Gdańsku, byłem na wczasach w politechnicznym ośrodku w Chmielnie (poznałem wówczas śp. Stasia Jabłonkę) i jakieś, oczywiście niedokładne, informacje na ten temat docierały do nas od tubylców zbulwersowanych sytuacją. Ludzie pamiętali przecież bardzo dobrze wydarzenia o 10 lat wcześniejsze i obawiali się jakiegoś ich powtórzenia. Gdynia, w której przesiadaliśmy się, wracając do Wrocławia, sprawiała posępne wrażenie. Bezczyenne dźwigi, zamarły ruch w mieście, atmosfera oczekiwania i grozy. Po powrocie wiedziałem, że nie wolno zostawić ich samym sobie, choć możliwości działania były żałośnie nieproporcjonalne do rangi wydarzeń. Na spotkaniu redakcji „Biuletynu Dolnośląskiego” (z Kornelem Morawieckim i Romkiem Lazarowiczem) szybko uzgodniliśmy konieczność wydrukowania i rozrzużenia ulotek, w których wzywaliśmy do podjęcia solidarnościowych strajków we Wrocławiu. Zebrała się Opozycyjna Rada Jedności, nieformalne spotkanie przywódców opozycyjnych grup działających we Wrocławiu. Dyskusja była poważna, nie wszyscy uważali, że tak właśnie trzeba postąpić, ale w końcu wydane zostało wspólne oświadczenie. Kiedy wreszcie strajk we Wrocławiu wybuchł i prosty rachunek sił kazał żywić obawy co do

dalszego przebiegu wydarzeń, miałem poczucie nie tyle sukcesu, co winy za to, co mogło nastąpić. Brzmi to paradoksalnie, ale odetchnąłem z ulgą, gdy dowiedziałem się, że inicjatorzy strajku nie mieli w rękach naszej ulotki. Odczucia, które mną kierowały, były więc naprawdę powszechne.

Obserwowanie z bliska strajku dostarczyło nowej porcji niezapomnianych wrażeń. Ludzie pełni godności, determinacji, woli współpracy. Młodzi działacze opozycyjni (z kręgu Studenckiego Komitetu Solidarności) organizujący strajkową poligrafię. Dyskusja o komunikacie strajkowym, w której (nie bez mojego udziału) zgodzono się na czysto solidarnościową formułę (poparcie zacytowanych gdańskich postulatów z zaniechaniem dorzucania własnych, być może bardziej uzasadnionych). I ten historyczny moment, kiedy po powrocie do sali obrad ze sformułowaniem komunikatem (pracowałem nad nim w jakiejś kanciapie razem z Cześkiem Stawickim) dowiedziałem się, że trzeba zmienić nagłówek i podpis, gdyż właśnie ukonstytuował się Międzyzakładowy Komitet Strajkowy (ciągle zgłaszały się nowe delegacje z przyłączających się do strajku zakładów, już nie tylko wrocławskich). Noc pełna trwogi (zajeżdźnia to nie stocznia, a wokół zgromadzono naprawdę imponującą machinę przemocy).

Rankiem przed bramą zajeżdźni defilowali do pracy mieszkańcy odleglejszych osiedli. Nie wszyscy byli zachwyceni perspektywą długiego marszu przez miasto, ale wszyscy dodawali strajkującym otuchy, brali ulotki, dopytywali się o potrzeby.

Razem z tą falą zabrałem się do miasta, by wraz z innymi członkami Towarzystwa Kursów Naukowych (śp. Stanisław Hartman, śp. Mirosława Chamcówna, Roman Duda) wystylizować deklarację poparcia środowiska naukowego i zebrać pod nią podpisy. Z deklaracją wróciliśmy do zajeżdźni i przypadł mi w udziale zaszczyt odczytania jej strajkującym z pełniącego funkcję trybuny wózka akumulatorowego. Kiedy wracaliśmy do domu, na Grabiszyńskiej zatrzymała nas milicja i następną dobę przyszło spędzić w areszcie. Wypuszczono nas, gdy Wałęsa od tego uzależnił podpisanie gdańskiego porozumienia.

Te pierwsze wspomnienia są najsilniejsze. Później też było ciekawie. Wszyscy zakładali nowy związek – żona, teściowie, znajomi i przyjaciele. Ja sam byłem nieco na marginesie z powodu „odrabiania” zaległego urlopu. Ten niekłamany entuzjazm oraz społecznikowska aktywność tak wielu osób, z których większości wcześniej nikt nie podejrzewałby o takie zdolności i zainteresowania, to kolejny wart przypomnienia element mojego nostalgicznego pejzażu.

Dosyć jednak wspominków. To temat na obszerniejszy materiał, którego pewnie nigdy nie napi-

sze, ale warto dla potomnych zapisać jeden drobny szczegół. W tym gorącym okresie pierwszych dni września odbyło się w naszym domu spotkanie kilku osób z Uniwersytetu. Tematem było zakładanie niezależnego związku na tej uczelni. Nie pamiętam wszystkich obecnych. Na pewno był Olek Labuda i Jacek Łukasiewicz, chyba też matematycy, z którymi działaliśmy w Towarzystwie Kursów Naukowych (Duda, Hartman, Gleichgewicht). Spóźnił się Karol Modzelewski, który przyjechał prosto z jakiejś narady w Gdańsku. Opowiedział, jak udało mu się wszystkich przekonać do terytorialnej, a nie branżowej struktury związku oraz dopisania do nazwy słówka „Solidarność”, które miało wyróżnić ten związek spośród innych powstających jak grzyby po deszczu (i przepoczwarzających się oficjalnych związków zawodowych). Wspominam o tym, bo warto wiedzieć, że w narodzinach fenomenu „Solidarności” mieszkańcy naszego miasta odegrali istotną rolę. (Na marginesie dodam, że słowo „Solidarność” zostało wzięte z tytułu biuletynu strajkowego w Stoczni Gdańskiej redagowanego przez Mariusza Wilka, działacza wrocławskiego Studenckiego Komitetu Solidarności).

Te wyrywkowe wspomnienia przytaczam jedynie po to, by dotrzeć do przedmiotu mojej (naszej?) nostalgii. Co było aż tak niepowtarzalnego w tamtym okresie? Mówi się czasem (i jest w tym pewna nuta dobrotliwej złośliwości) o festiwalu pierwszej „Solidarności”. Rzeczywiście, było w tym coś z nieustającego święta. Jeśli bowiem święto to okres przerwy w rutynie zwykłych dni, to nie ulega wątpliwości, że była to przerwa, długa przerwa w zamulającej rzeczywistości komunistycznej wcześniejszego i późniejszego okresu (zwłaszcza tego drugiego, który nastał w noc 13 grudnia). Dojmującym doznaniem czasów PRL-u było poczucie beziły wobec tego, co nas spotykało. Można było wprawdzie wyżywać się w pewnych wąsko określonych obszarach (np. w pracy naukowej, zwłaszcza jeśli były to nauki ścisłe, w życiu rodzinnym, w pewnych obszarach kultury, a nawet – po oszukaniu cenzury – w kabarecie). Jednakże we wszystkich ważniejszych sprawach życia zbiorowego, a nawet indywidualnego, zdany się było na łaskę i niełaskę jakichś anonimowych mechanizmów. To one decydowały o przydziale mieszkania, samochodu i wczasów, o zatrudnieniu, o wydaniu lub niewydaniu paszportu, towarach na sklepowych półkach i pieniądzach w mojej kieszeni.

Nagle okazało się, że coś możemy – i to znacznie więcej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać w najśmielszych marzeniach! Już samo to poczucie (niekiedy idące znacznie dalej, niż usprawiedliwiały to okoliczności) tłumaczyć może ówczesne poczucie radości (często graniczącej z euforią). Ale

dołączmy i inne elementy. Wbrew temu, co czasem słyszymy, niewiele było osób w pełni oddanych peerelowskiej rzeczywistości, choć bardzo wielu „utyłanych” było w bliżej lub dalej posuniętej kolaboracji. Prawie każdy chętnie wyartykułowałby swoje zastrzeżenia, co było niemożliwe w sferze publicznej, a ryzykowne w sferze prywatnej. Wielu żyło sam na sam ze swoimi wątpliwościami przez lata. W Sierpniu jeszcze dobitniej niż w czasie papieskiej wizyty okazało się, że ludzi podobnie myślących i oceniających sytuację jest wielu – wszyscy dokoła! Obecny w językowym obyczaju podział na MY (rządzeni) i ONI (rządzący) nagle unaoczniał się z deprymującą dla „onych” wyrazistością. Inna rzecz, że w sporach toczonych w ciągu tego roku rzadko dochodziliśmy do punktów, w których zaczynały się poważne różnice zdań, a wtedy ocieraliśmy się o podziały opinii obecnie będących naszym udziałem. Kolejny element zaskoczenia wiąże się z poczuciem solidarności, które towarzyszyło nam na co dzień, wraz z odmienianą przez wszystkie przypadki nazwą związku. To było coś więcej niż wyżej wspomniana jedność. Może nie tkwiło w niej papieskie przesłanie: „jeden drugiego brzemiona noście”, ale na pewno było dogłębne przeświadczenie o wspólnotcie losu: albo uda się nam wszystkim, albo wszyscy będziemy przegrani. To solidarność właśnie dawała nam poczucie siły, czasem nadmierne, ale zawsze radosne. Była też radość tworzenia czegoś nowego, niebywałego, jedyne w swoim rodzaju, połączona w dodatku z poczuciem, że nam to wychodzi.

Nie było to oczywiste. W końcu wiele rzeczy – od drukowania i redagowania gazet, przez przemawianie i prowadzenie zebrań, po wdrażanie demokratycznych procedur – robiliśmy po raz pierwszy w życiu, z jakimś śladowym jedynie wcześniejszym doświadczeniem. Wylansowane w czasie władzy Gierka hasło „Polak potrafi!” nabrało nieoczekiwanego znaczenia. Wreszcie dokoła pojawiło się wiele postaci autentycznych i barwnych – wspaniałych mówców, dobrych organizatorów, trafnych analityków i komentatorów, czy też ludzi wielkiej fantazji i odwagi. Wyjątkowa kolekcja typów ludzkich wartych pamiętania i wspominania.

Oczywiście, były momenty frustracji, epizody swarów czy zacierzewienia, chwile grozy (kryzys bydgoski!), poczucie fiaska takiego czy innego działania, ale nawet uwzględniając je wszystkie, jest za czym tęsknić i co wspominać.

...dziś piękność twą w całej ozdobie...

Oglądany z tej perspektywy ruch „Solidarności” pełen jest niepowtarzalnego uroku. Widzieli to wszyscy, którzy obserwowali nas z zewnątrz. Zachodni politycy i związkowcy, intelektualiści i „szarzy ludzie” – ci wszyscy, którzy ruszyli nam ze spontaniczną humanitarną pomocą po wpro-

wadzeniu stanu wojennego – patrzyli z fascynacją na to, co działo się w Polsce. Teraz, patrząc z zewnątrz i z oddalenia, lepiej rozumiem ich fascynację. Wówczas, tkwiąc po uszy w niektórych działaniach, widząc z bliska ludzi odpowiedzialnych za nie, świadom byłem raczej naszych ograniczeń i ułomności. Na czym polegał fenomen „Solidarności”?

Najważniejsza była niezwykle, wprost genialnie prosta zasada, dzięki której stał się on w ogóle możliwy. Otóż wówczas, w pamiętnym Sierpniu, wszyscy przyjęliśmy prosty schemat postępowania: dołącz do tych, którzy zaczęli przed tobą. W ten sposób nagle zorganizował się cały kraj, odkładając na bok zwykłe w takich momentach spory o przywództwo czy o racje. Dlaczego to było możliwe? Mam swoją hipotezę. Jak pisałem, strajki krążyły po kraju przez całe lato. Kondensacja nastąpiła, gdy fala ta dotarła na Wybrzeże. Wylumaczenie widzę w tym, co stało się w Gdańsku i Szczecinie 10 lat wcześniej. Nie tylko ja, ale bardzo wielu nosiło w sobie ślad tamtych wydarzeń, w tym i poczucie bezsilności świadka zbrodniczej przemocy, i właściwe takiemu świadkowi wyrzuty sumienia (nieważne, na ile zasadne). Kiedy znowu „zaczęło się na Wybrzeżu”, pojawiła się też powszechna wola przeciwdziałania powtórcie z historii. Nowa fala strajków miała już wyraźnie solidarnościowy charakter, a dołączenie do robotników stoczni było czymś automatycznym (symbolem stał się Gdańsk, a nie Szczecin, dzięki swemu położeniu).

Tak czy owak, powstał ogromny ruch społeczny urzeczywistniający kilka marzeń całej naszej kultury – i o awansie z pacybuta na milionera (Lech Wałęsa), i o obronie niewinnie krzywdzonej niewiasty (Anna Walentynowicz), i o podstawowej równości ludzi, bez względu na pochodzenie czy wykształcenie (najgłośniejszymi przywódcami byli robotnicy, a intelektualiści czy wręcz intelektualiści występowali w bardziej służebnych rolach), i o wyzwalającej roli prawdy (ileż czasu i energii poświęcano walce o odkłamanie historii)...

Oczywiście, każdy to widział po swojemu. Jedni odczytywali nasz fenomen przez pryzmat nauki Ewangelii, inni – republikańskich haseł wolności, równości i braterstwa, jeszcze inni przez liberalny ideał samodzielności („self made man”) czy konserwatywny – wierności pewnym podstawowym ideom i zasadom. Spotkałem i takich, którzy przyjmowali optykę lewacką, dopatrując się w „Solidarności” autentycznej proletariackiej rewolucji!

Na pewno mieliśmy do czynienia z niezwyklej erupcją ludzkiej indywidualnej i zbiorowej aktywności, której nie towarzyszyły żadne gwałtowne czyny, nie było ani cienia przemocy – i to pomimo prowokacji strony przeciwnej. Już samo to było

ewenementem w skali światowej. Rewolucja bez rozlanej kropli krwi, ba – bez stłuczonej szyby! Czegoś takiego nie znano i nawet nie potrafiło sobie wyobrazić.

Kolejny element to dziesięciomilionowy ruch, który organizując się w marszu (i to w mocno niesprzyjającym otoczeniu), potrafił zachować jednolitość działania, spójność organizacyjną, posiadał niekwestionowanych przywódców i potrafił szybko reagować na pojawiające się wyzwania. Dodam na użytek młodszych czytelników, że nie było jeszcze internetu ani telefonów komórkowych, a i do powielaczy czy zwykłych telefonów dostęp był mocno ograniczony. To też był fenomen trudny do przewidzenia, choć powtórzył się w wielu miejscach po dziesięciu latach w okresie Jesieni Ludów (inna rzecz, że w działaniach bardzo ograniczonych w czasie).

Warto przypomnieć, że ruch ten był w stanie sformułować swój program (przyjęty na I Zjeździe NSZZ „Solidarność”). Ponieważ stało się to niedługo przed delegalizacją związku w stanie wojennym, ma on rangę testamentu tamtego okresu. Zbyt rzadko wracamy do tego tekstu, a szkoda. W końcu pewne rzeczy w nim postulowane udało się zrealizować (Samorządna Rzeczpospolita!) i warto przypominać o owym źródle inspiracji. W dobie obsesyjnej obrony praw własności intelektualnej nie wolno dać się ograbić z własnych dokonań!

Wreszcie ważne jest to wszystko, co napisałem powyżej – idea solidarności i barwni przywódcy, poczucie wspólnoty i siły czy granicząca z bezczelnością odwaga i poczucie własnej kompetencji. Uroku sytuacji dodawało i to, że pokojowa organizacja bazująca na różnych kategoriach pracowników stała naprzeciw zorganizowanej przemocy, która niejednokrotnie pokazała, na co ją stać, że słabi, bezbronni ludzie rzucali wyzwanie nie tylko uzbrojonej po zęby władzy, ale też stojącemu za jej plecami światowemu mocarstwu!

Jeśli przeczytamy uważnie to, co napisane wyżej, zobaczymy, że mamy z czego być dumni i że współuczestniczyliśmy w procesach, które zmieniły Europę i cały świat, i to nie wlokąc się w ich ogonie! Warto o tym pamiętać nie tylko w ćwierćwiecze „Solidarności”.

...kto cię stracił...

W latach 1982-1988 odbierano nam niemal wszystko ze wspomnianych zdobyczy – pewność siebie, poczucie siły i zaufanie do przywódców; wielu wyemigrowało, wielu skapcało itd. Co gorsza, przy okazji Okrągłego Stołu i tworzenia III RP odrzuciliśmy wiele z solidarnościowych mitów i zasad. Przede wszystkim zrezygnowaliśmy z samej solidarności. Jako mało praktyczna została ona odesłana do lamusa, a jej miejsce zajęły liberalne

ideały „zdrowego egoizmu”. Doszło do tego, że idea ta, której nadaliśmy społeczny wymiar, nie doczekała się w Polsce żadnej intelektualnej refleksji, gdy w świecie poświęcono jej liczne opasłe tomska. Kiedy przed pięciu laty, w ramach obchodów dwudziestolecia NSZZ „Solidarność”, rozglądano się za jakąś poważniejszą pozycją, okazało się, że wznowić można jedynie „Etykę solidarności” napisaną przez Tischnera w 1981 roku. Pięć lat później sytuacja nie jest lepsza.

Zrezygnowaliśmy też ze zdolności społeczeństwa do samoorganizacji. Elity polityczne szybko i zdecydowanie zastąpiły mniej lub bardziej spontaniczne komitety strukturami partyjnymi (przedtem dbając o to, by owe komitety realizowały narzucałą, słuszną linię). Straciliśmy entuzjazm, spontaniczność, poczucie współuczestnictwa w zachodzących zmianach. Znowu zbyt wielu, choć z innych niż niegdyś powodów, ma poczucie, że nic od nich nie zależy!

Zrezygnowano z paru innych zasad, nawet z elementarnej uczciwości (że o prawdzie nie wspomnę). Obecny moralny obraz polskiej politycznej klasy jest dobrym obrazem tego, do czego ta rezygnacja doprowadziła.

Na znaczeniu stracił NSZZ „Solidarność”, ale tu można się zgodzić z tezą, że było to w znacznej mierze nieuchronne. Rolę szerokiego ruchu społecznego przejęły inne struktury, a próby powrotu do politycznego znaczenia nie prowadziły do niczego dobrego. Inna rzecz, że erozja pozycji związku nie byłaby tak wielka, gdyby tak wielu nie wykorzystało go jako odskoczni dla własnej kariery.

...ty jesteś jak zdrowie (?)

Mamy dość degradacji naszego zbiorowego życia. Myślimy i marzymy o niezbędnym moralnym przełomie, być może o nowym otwarciu, o IV Rzeczypospolitej. Coś wisi w powietrzu, a że jakieś zmiany są możliwe, znowu uzmysłowił nam Jan Paweł II, tym razem swoim odejściem. Znowu zgromadził tłumy, znów ludzie widzący świat zgodnie z Jego nauczaniem poczuli się razem, przestali być samotni. I ponownie objawił się dramatyczny podział na NAS i ONYCH – politykę zepchnięto na margines życia społecznego! Powróciła też idea solidarności (zwykłej, ludzkiej).

Oczywiście, powtórki z historii nie będzie, bo być nie może, ale warto przyglądać się spadkowi po pierwszej „Solidarności”. Może z niego nam się w przyszłości przydać więcej, niż się na ogół przypuszcza. Przede wszystkim zaś prosty morał, że nie wolno dać się wyzuć (a tym bardziej ograbić!) z tego, z czego możemy być dumni, i że nie wolno zrezygnować z realizacji wartości, które uznajemy – nawet gdy dzięki nim odniesiemy sukces!

25 LAT MINĘŁO...

Krzysztof Sosna

Na Politechnice w sierpniu 1980 roku nie było ruchu, bo przecież trwały wakacje. Byłem pracownikiem Zakładu Aparatury Naukowej i Dydaktycznej przy ul. Krasińskiego, jednostki wytwarzającej sprzęt na potrzeby uczelni. Byłem pracownikiem produkcyjnym i chyba dlatego miałem ostre spojrzenie na otaczającą nas rzeczywistość. Już w lipcu nasłuchiwałem sygnałów z kraju, chłoniłem informacje w prasie niezależnej, aż przyszedł dzień strajku komunikacji miejskiej we Wrocławiu, to było bodajże 26 sierpnia. Na dwóch pierwszych piętrach, na których ulokowana była produkcja, pracownicy techniczni zaczęli dyskutować o tym, co się dzieje w kraju, między innymi o 21 gdańskich postulatach. Poprosiliśmy dyrektora na rozmowę, ale on z rozbijającą szczerością przyznał, że też czuje się zgubiony. Wydelegowaliśmy więc spośród siebie cztery osoby – w tym i mnie – na instruktaż w zajezdni przy Grabiszyńskiej, gdzie mieścił się komitet strajkowy. Gdy wróciliśmy stamtąd już przeszkoleni, trzeba było przygotować zebranie dla pracowników. Wciąż za załogę uważaliśmy tylko tych produkcyjnych, ale pocztą pantoflową wiadomość dotarła też do części administracyjnej i na zebranie zjawił się cały ZANiD – ponad 200 osób, plus delegaci z innych pobliskich zakładów Politechniki. No i konkluzja była taka – trzeba stanąć, jak większość zakładów wrocławskich, tylko nikt nie wiedział, jak to się robi. W końcu założyliśmy komitet strajkowy.

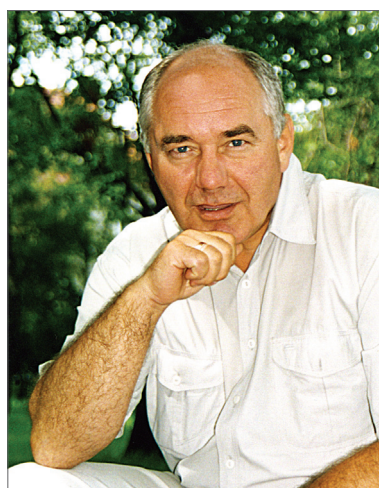
Wystawiliśmy na zewnątrz plakat, ustawiliśmy flagi. W pobliżu naszej bramy był bar Pocztowiec, który potem zmienił nazwę na Popularny. Mordownia okropna, ale gdy nadszedł czas próby dla wszystkich, klienci tego baru pozbierali się po złotówce – a złotówka to dla nich była już duża kwota – i kupili białe i czerwone goździki, które postawili obok tablicy z informacją, że popieramy strajk na Wybrzeżu.

Tak przetrzymaliśmy do 31 sierpnia.

Postulaty z Gdańska dojechały na Grabiszyńską, a potem rozwieziono je po zakładach, trafiły i do nas. Gdy tylko doszła do nas informacja, że Tomek Wójcik na chemii organizuje związek, pojechaliśmy tam we dwóch z Tadeuszem Joczynem. W gronie ponad 20 osób wybraliśmy Komitet Założycielski, do którego wszedłem jako wiceprzewodniczący. Tak zaczęła się ciężka robota organizacyjna, którą najlepiej, jak potrafiłem, wykonywałem w swym zakładzie.

I pewnie przez przypadek los związał mnie z działalnością wydawniczą.

Wczesną wiosną 1981 roku poznałem, za pośred-



■ Krzysztof Sosna

nictwem Jadzi Szymonik, ówczesnych studentów Uniwersytetu Wrocławskiego – Danutę Szczepańską z Warszawy oraz Wiesława Jastrzębskiego, pochodzącego z Gliwic, którzy zaangażowani byli w organizowanie regularnych dostaw wydawnictw bezdebitowych do Biblioteki Zarządu Regionu „Solidarności”, jak również do Komisji Zakładowych w większości istniejących w tamtym okresie dużych przedsiębiorstwach. Przypadła mi do serca ta działalność i rozpocząłem regularne podróże do Krakowa, Warszawy, Lublina.

Transport wymagał prywatnego samochodu, a jedna podróż pochłaniała całomiesięczny przydział benzyny. By móc kontynuować te wyprawy, zastępowaliśmy paliwo denaturatem i benzyną ekstrakcyjną z niewielką domieszką oleju, czy też załatwianą z lotniska pod Opolem benzyną lotniczą.

Marek miał syrenkę, ja – „malucha”. Na pewno nie były to samochody przeznaczone do takiego transportu, ale mimo to potrafiły zadziwić swą pojemnością. Pewnego razu przyjechaliśmy z Wieśkiem z Warszawy. Po wyładowaniu transportu z książkami na dziedzińcu Zarządu Regionu przy ul. Mazowieckiej we Wrocławiu Krzysiek Turkowski, który nam pomagał, był w szoku – stos wyładowanych paczek był niewiele mniejszy od samochodu!

W podróżach spędziliśmy wiele godzin. Nasze stałe trasy obejmowały wydawnictwa: „NOW-a”, „Krań”, „Spotkania”, „KOS”, jeździliśmy po akademikach, mieszkaniach prywatnych, pomieszczeniach NZS-u itd. Nabywaliśmy umiejętności zdobywania materiałów poligraficznych, podpatrywałem techniki drukarskie, uczyliśmy się, w jaki sposób funkcjonuje wymiana wydawnictw.

Dojrzała w nas decyzja stworzenia wydawnictwa przy Komisji Zakładowej Politechniki Wrocławskiej. Zdawali sobie sprawę, że to nie będzie proste przedsięwzięcie. „Prowokacja bydgoska” uświadomiła nam, że nasz projekt musi być

utrzymany w ścisłej tajemnicy i obejmować zaufanych i oddanych sprawie ludzi. Grupę tę tworzyli: Jadwiga Szymonik, Danuta Szczepańska, Marek Muszyński i ja.

Propozycję stworzenia uczelnianej oficyny wydawniczej w pełni poparli i zaakceptowali szefowie Komisji Zakładowej „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej – Tomek Wójcik i Tadeusz Huskowski.

Wydawnictwo rozpoczęło swoją działalność. Mistrzami w zdobywaniu papieru do druku byli Danusia i Wiesiek, w transport zaangażowałem się wraz z Markiem, a Jadzia koordynowała wszystkie nasze działania. Materiały przychodziły na ulicę Grodzką, gdzie znajdowała się drukarnia NZS-u, a wieczorami rozwoziliśmy je do zorganizowanych wcześniej dziupli w Radwanicach, na Wojszycach, Sępólnie.

W różnych miejscach mieliśmy rozlokowanych kilka dobrych ton papieru, z tego jakieś dwie tony wraz z maszynami poligraficznymi umieściliśmy w pozyskanym pomieszczeniu na parterze budynku D-2 Politechniki Wrocławskiej.

13 grudnia 1981 roku byłem wśród strajkujących w Gmachu Głównym. Tadek Orłowski pełnił wtedy funkcję komendanta budynku, a ja zajmowałem się bieżącymi sprawami, takimi jak umówienie księdza na wieczorną mszę czy zamówienie chleba na jutro. Gdy zaczęła się pacyfikacja, oberwałem, jak większość obecnych w A-1, parę pał w plecy, kilka uderzeń w nerki, rzut o ścianę. W pewnym momencie podszedł do mnie podoficer w uszan- ce i mówi: „Przylgnij do ściany, będzie mniej bolało!”. A za mną zomowiec repetuje RAK-a. Czuję ciarki na całym ciele, pot spływa mi po plecach, na szczęście mundurowi mieli tylko takie metody straszenia.

Byłem o jakieś dwa metry od Tadeusza Kosteckiego, gdy dostał zawału serca. Potem widziałem tylko, jak reanimują go dwie osoby, ktoś krzyczy „lekarza”, a zomowcy stoją jak zamurowani.

Zaimponował mi wtedy profesor Andrzej Wiszniewski, bo gdy puścili mnie już na korytarzu, wszedłem do pokoju, gdzie mieścił się komitet strajkowy, do którego pacyfikacja jeszcze nie dotarła. Ale ZOMO szybko nadrobiło zaległości, wpadło do pokoju i krzyczy: „Wychodzić!” Profesor Andrzej Wiszniewski na to: „Panowie, spokojnie, już wychodzimy, proszę nie używać przemo- cy”. I wyszedł, a ja za nim. Wtedy profesor dostał pałą, a mnie i kolegę jakiś ponaddwumetrowy umundurowany byczek wziął za fraki, podniósł do góry jak piórka i wałnął nami o posadzkę.

Pacyfikacja i następujące po sobie wydarzenia pierwszych dni stanu wojennego zmusiły nas do

wywiezienia zgromadzonych na uczelni wszystkich materiałów wydawniczych i rozlokowania ich w przygotowanych dziuplach. Było to przedsięwzięcie niebezpieczne, grożące w każdej chwili aresztowaniem. Kilka razy udało mi się wraz z Jadzią wywieźć pewne ilości papieru oraz trochę książek, jednakże obserwowani przez SB nie byliśmy w stanie uratować wszystkiego. 17 grudnia 1981 roku nieudaną próbę wywiezienia zgromadzonych materiałów podjęli Marek z Jadzią, użyli do tego furi zaprzężonej w konia pana Tadeusza Stysiaka. Publikacje, maszyny poligraficzne, papier – wszystko, czego nie zdołaliśmy wywieźć, trafiło w ręce SB. Cały księgozbiór wraz z niedokończoną książką pt. „Czwarty rozbiór Polski” trafił zapewne na przemiał, a Jadzię tylko przypadek uratował przed aresztowaniem.

Tak, niestety, zakończyła się historia naszego wydawnictwa. Ale ukryte w różnych dziuplach oraz przezniesie przeze mnie schowane w piwnicach ZANiD-u papiery, farby drukarskie, matryce białkowe czy kwarcie do radiostacji z wozów bojowych zdobywane w wojskowych zakładach radiowych w Czernicy obsłużyły wiele organizacji związkowych działających na terenie Wrocławia, Dolnego Śląska, a także w innych regionach. Z zapasów papieru i farby korzystał „Biuletyn Informacyjny”, „Solidarność Walcząca” i „Na indeksie”. Na naszych materiałach zaczynał również swoją działalność tak zwany „trzeci szereg” Regionu

■ Marek Wierciński przy powielaczu w lokalu NZS na Politechnice Wrocławskiej, październik 1980



foto: Witold Machalski

Podbeskidzie i Śląsko-Dąbrowskiego, po tym jak ich poligrafię rozbito w stanie wojennym. A że pochodzę z Tarnowskich Gór, jestem Ślązakiem z dziada pradziada, nie mogłem i nie umiałem odmówić, gdy zwrócili się do mnie z prośbą: „Pomóż, pokaż techniki drukarskie”. Prawdę powiedziawszy, wszystkiego ich trzeba było uczyć od początku.

Z powodu wiecznie chomikowanej i przewożonej bibuły o mało nie zaliczyłem wpadki, która na pewno skończyłaby się aresztowaniem. Dwaj ubecy podeszli do mnie na ulicy i zaprosili na przeszukanie mego mieszkania, gdzie w tapczanie miałem ukryte 3 tysiące egzemplarzy książki. Przyznam, że gdy mnie wieźli do domu, ciarki chodziły mi po plecach, a tam zastaję Tadeusza Orłowskiego, który w najlepsze gada sobie z dwoma innymi ubekami, którzy przyszli do mnie wcześniej. On sobie gada, żona w drugim pokoju wyrzuca te książki przez okno, a moje dzieciaki taszczą je do piwnicy sąsiadki. Gdy w końcu zrobili rewizję, niewiele już znaleźli.

W tamtych czasach zawsze miałem przy sobie dobrze ukryte pięć tysięcy złotych (czy więcej, jak inflacja rosła), aby móc wykupić się w razie postawienia przed kolegium. A przed pójściem na zadymę w prawej skarpetce chowałem chusteczkę zwilżoną wodą – do umycia rąk, bo brudne były dowodem, że rzucało się kamieniami w milicjantów – w lewej zaś chusteczkę nasączoną specjalnym roztworem do przemywania oczu po gazie łzawiącym.

Gdy mnie wzywali na przesłuchanie, na wszelki wypadek brałem „piterek”, a w nim mały ręczniczek, dwie paczki fajek, szczoteczka i pastę do zębów, mydełko. Opiekun bawił się moim dowodem osobistym i mówił: „My byśmy chcieli, żeby państwo nam ufali”. Na to ja otwierałem swój „piterek” i pokazując mu zawartość, odpowiadałem: „Widzi pan, jak ja wam ufam? O, tak!”. Zwykle wtedy oddawano mi dowód i kazano iść do domu. Ale sześć czy siedem odsiadek po 48 godzin i tak zaliczyłem.

Zgarnęli mnie też 31 sierpnia 1982 roku, gdy fotografowałem manifestacje na wrocławskich ulicach. W pierdłu ściągnęli ze mnie krzyżyk z orłem w koronie i taką dużą literą „S”. Strażnik krzyczy uradowany: „O, orzeł »Solidarności«!”. A ja mu na to, że nie żadnej „Solidarności”, ale króla Zygmunta Augusta! Oddał mi ten krzyżyk z powrotem. Jeszcze opiszę dwa zdarzenia.

Na placu Grunwaldzkim, naprzeciw byłej Przychodni Zdrowia Politechniki Wrocławskiej stała budka telefoniczna. Kilka dni po pacyfikacji strajku Politechniki Wrocławskiej 15 grudnia 1981 roku



■ ZOMO na ul. Kazimierza Wielkiego, Wrocław, 31.08.1982

stała sobie pozbawiona swej roli. Telefony były wyłączone, więc co najwyżej służyła jako osłona przed wiatrem czy zadymką śnieżną. A grudzień owego roku był mroźny. Czekając na autobus relacji Dworzec Główny – Sępolno, schowałem się przed wiatrem do tej budki. Był wieczór, ale dostrzegłem przyklejoną kartkę przy automacie telefonicznym. Była to zwykła kartka papieru, ale bardzo estetycznie, równo przyklejona do szyby z kaligraficznie wypisanym tekstem.

Wyjąłem zapalniczkę i rozpraszając wieczorny mrok, przeczytałem napis: „JEŻELI UWAŻASZ, ŻE JARUZELSKI TO CH... POSTAW UPRZEJMIE KRZYŻYK SWÓJ”. Cała kartka była pełna krzyżyków. Obok niej była dolepiona druga kartka, tak samo starannie. Na niej również były postawione krzyżyki, ale znalazłem jeszcze trochę miejsca, aby postawić swój. Zdążyłem, autobus „D” właśnie nadjechał.

Jesienią 1982 roku złożyłem wizytę Jadzi Szymonik, która pracowała w tym czasie w Pionie ds. Studenckich. Zawsze przy takich okazjach miałem ze sobą sporo wydawnictw przywiezionych z innych regionów Polski, a zabierałem najczęściej kłiszki „Ślepowrona”, matryce czy inne materiały. Tak było i tym razem. Jako że przyjechałem z Regionu Podbeskidzie i Śląsko-Dąbrowskiego, musieliśmy przekazać sobie sporo informacji po wymianie wydawnictw, moja wizyta trochę się więc przeciągnęła w czasie. W biurze Jadzi schowkiem na bi-

bułę była m.in. stara szafa pancerna. Przy biurku stała cała torba przyniesionych przeze mnie wydawnictw, niestety, niezamknięta niezauważenie uchyliła się, obnażając lekko swoją zawartość.

W pewnym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszło dwóch panów.

Ich profesję od razu zdradzały świeżo kupione w „Konsumach” koszule koloru błękitnego.

Jadzia zbłądła, ja na odwrót, poczerwieniałem z wrażenia. „No to siedzimy” – pomyślałem. Dobrze by było, żeby choć w jednej celi, przynajmniej będzie wesoło.

Doszli do biurka Jadzi, pytając o dyrektora pionu, którego nie było w pracy. Po chwili okazali swoje znane wszystkim legitymacje – w tym momencie zacząłem powątpiewać w naszą wpadkę – i pytają, czy studentami Politechniki Wrocławskiej są jacyś tam ludzie. Przedstawili kserokopie legitymacji studenckich. Jeszcze nigdy nie widziałem Jadzi, która z taką pasją i zaangażowaniem obsługiwałaaby petenta, i to jeszcze takiego. Telefony aż poczerwieniały od tak szybko przekazywanych informacji. Nie minęło kilka minut – i wszystko było wyjaśnione. Ja w tym czasie blokowałem widok na odchylone drzwi szafy pancernej. Jadzia nawet wstała, żegnając tak „miłych” gości. Ubecy byli zaszokowani tak miłą i profesjonalną obsługą Biura ds. Studenckich. Wcale się im nie dziwię. Po tym incydencie przebolełem wycięcie jednego kuponu kartki z napisem „wódka ½ l”.

Przeżyłem w czasie „Solidarności” przygodę życia, rzucając się w jej wir z całym przekonaniem, co najpewniej bierze się z mego śląskiego charakteru. Mój dziadek był żołnierzem armii pruskiej, a gdy po wojnie wrócił na Śląsk, działał w POW, zaliczył powstania, a jego dziewczyna, czyli moja przyszła babcia, wyszywała powstańcze sztandary. Niemcy wysiedlili go z Gliwic na stronę polską i został policjantem, działając także w kontrwywiadzie, w tzw. Departamencie IVD, będąc jego szefem na powiat tarnogórski. We wrześniu 1939 roku bolszewicy dorwali go pod Mostami, zginął w Ostaszku – dziś jego wnuk jest przewodniczącym Rodzin Katyńskich, bo mój wujek pilot też został rozstrzelany w Charkowie.

Z domu wyniosłem przekonanie, że beczyność jest grzechem, wciąż mnie więc pchało do czynu, „Solidarność” zaś była dla mnie wielkim patriotycznym zrywem, takim marzeniem o tym, jak powinna wyglądać wolna Polska. Jakże ja mogłem o nią nie walczyć, skoro w mojej rodzinie wciąż ktoś bił się o tę wolną Polskę.

Na Politechnice pracowałem do końca 1982 roku. Najpierw przeszedłem do wodociągów, gdzie stałem szczałek Komisji Zakładowej, której od razu zacząłem pomagać przy zbieraniu składek i rozpo-

zaniu bibuły. Potem trafiłem do Zarządu Gospodarki Komunalnej, a w 1989 roku zakładałem „Solidarność” w Urzędzie Miejskim we Wrocławiu. Wtedy w magistracie los zetknął mnie ponownie z Andrzejem Olszewskim i Sławkiem Najnigierem – wszyscy uczyliśmy się wtedy samorządności i negocjowania umów zbiorowych.

Nadszedł jednak czas, gdy jedni poszli w politykę, a ja wolałem iść na swoje. Poradziłem sobie – najpierw prowadziłem pogotowie instalacyjne, teraz zarządzam nieruchomościami. Nigdy nie zerwałem kontaktów z uczelnią „Solidarnością”, biorę udział w każdej związkowej inicjatywie, jak choćby budowa pomnika czy fundowanie tablic pamiątkowych. Uważam to za swój święty obowiązek.

W 25. ROCZNICĘ POWSTANIA „SOLIDARNOŚCI”

Cecylia Biegańska

25 lat temu byliśmy świadkami emocjonujących wydarzeń w Polsce. Był to bardzo ważny okres w życiu moim oraz koleżanek i kolegów, z którymi pracowałem przez wiele lat w Instytucie Chemii i Technologii Nafty i Węgla Politechniki Wrocławskiej (I-3).

Już pod koniec lipca 1980 roku śledziliśmy doniesienia o „przestojach w pracy” i strajkach w Lublinie, a następnie z niepokojem obserwowaliśmy sierpniową pokojową walkę robotników w Stoczni Gdańskiej. Fala strajków rozszerzyła się prawie na całą Polskę. We Wrocławiu również powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w zajezdni autobusowej przy ul. Grabiszyńskiej, do którego przystępowały poszczególne zakłady pracy Dolnego Śląska.

31 sierpnia 1980 roku podpisane przez Lecha Wałęsę Porozumienie Gdańskie stwarzało możliwość utworzenia w zakładach pracy niezależnych związków zawodowych, wobec czego już na początku września – mimo sprzeciwu dyrekcji instytutu – razem z Ireną Więcek zorganizowałyśmy zebranie pracowników w sprawie ewentualnego utworzenia nowego związku. Po burzliwej dyskusji wyłoniła się spontanicznie grupa założycielska niezależnego związku zawodowego, którego przedstawicielami zostali między innymi: Irena Więcek, Tadeusz Lisik i ja.

Grupa Założycielska przekształciła się w Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność” w I-3. Pod koniec 1980 roku przeprowadzono w instytucie wybory do Komisji Oddziałowej, której przewodniczącą została Irena Więcek. Mnie powierzono



■ Cecylia Biegańska

mandat członka Komisji Zakładowej Politechniki Wrocławskiej.

Do czasu wprowadzenia stanu wojennego działalność Komisji Oddziałowej polegała na uczestniczeniu w manifestacjach, szkoleniach, pomocy wzajemnej, na dyskusjach, spotkaniach oraz na solidarnym wspieraniu władz związkowych, gdy ogłosiły strajk ostrzegawczy czy powszechny.

To był niezwykle festiwal twórczej, społecznej i solidarnej pracy związkowej. Niestety, 13 grudnia 1981 roku wprowadzono stan wojenny, który przekreślił tę naszą dobrze zapowiadającą się pracę dla Polski.

Po pierwszym szoku, jakim była pacyfikacja uczelni, po schowaniu i zabezpieczeniu dokumentów, przynależność do związku w Instytucie Chemii i Technologii Nafty i Węgla deklarowało nadal około 40 osób, które do końca 1988 roku płaciły regularnie składki członkowskie na działalność podziemnej „Solidarności”. Ponadto wielokrotnie zbieraliśmy pieniądze na pomoc rodzinom internowanych, represjonowanych i uwięzionych przywódców „Solidarności” oraz dla aresztowanych studentów. Wysyłaliśmy również paczki żywnościowe do więzienia w Nysie i dla rodzin wielodzietnych. Podpisywaliśmy apele i listy protestacyjne z żądaniem uwolnienia internowanych i aresztowanych przywódców „Solidarności”. Skarbnik Komisji Oddziałowej Andrzej Kubacki zorganizował w instytucie Kasę Oszczędnościowo-Pożyczkową, dzięki której w każdej chwili mogliśmy pomóc represjonowanym działaczom i ich rodzinom oraz członkom związku w I-3. Andrzej Kubacki zajmował się również obserwacją i analizą działalności Służby Bezpieczeństwa we Wrocławiu. Jego praca polegała na nasłuchiowaniu rozmów z nadajników SB, rozpracowywaniu tych informacji, a następnie na ostrzeganiu osób, których dotyczyły. Wyniki analiz przekazywał Solidarności Walczącej i in-

nym organizacjom podziemnym działającym we Wrocławiu.

W latach 1984-1987 opłacaliśmy prenumeratę czasopism dla dzieci polskich w Związku Radzieckim (mieliśmy pod opieką jedną szkołę na Wileńszczyźnie).

Po wprowadzeniu stanu wojennego Michał Haniżewski, mieszkający na terenie parafii pod wezwaniem św. Klemensa Dworzaka, został członkiem Duszpasterstwa Ludzi Pracy w dzielnicy robotniczej Wrocławia. Na prośbę księdza proboszcza Adama Wiktora w 1985 roku ja również zostałam członkiem tego duszpasterstwa, prowadząc w pewnym okresie jego kronikę. Praca w duszpasterstwie była bardzo intensywna. Organizowaliśmy co miesiąc mszę świętą za Ojczyznę, w której uczestniczyli mieszkańcy Wrocławia oraz goście z różnych stron Polski i z zagranicy. Michał Haniżewski był najbardziej aktywnym i niezwykle pracowitym członkiem tego duszpasterstwa. Zajmował się sprawami organizacyjnymi i nagrywaniem mszy świętych oraz wielu różnych spotkań. Wraz z nim i innymi członkami „Solidarności” z I-3 uczestniczyliśmy w wielu manifestacjach, pielgrzymkach i mszach za Ojczyznę we Wrocławiu oraz w innych miastach Polski (Częstochowa, Gdańsk, Łódź, Warszawa, Białystok, Śląsk – kopalnia „Wujek”, Radom, Kielce i Suchowola).

W 1983 roku uczestniczyliśmy w spotkaniu z papieżem Janem Pawłem II na Partynicach we Wrocławiu, a w 1987 roku – w Gdańsku, Łodzi, Warszawie i w Częstochowie.

W 1984 roku wzięliśmy udział w pogrzebie zamordowanego przez SB księdza Jerzego Popiełuszki. Śmierć tego kapłana była dla nas wielkim wstrząsem, a pogrzeb niezwykle, patriotycznym wydarzeniem.

Po śmierci księdza Jerzego wraz z innymi członkami „Solidarności” z Instytutu Chemii i Technologii Nafty i Węgla oraz członkami Duszpasterstwa Ludzi Pracy uczestniczyliśmy co roku w pielgrzymce świata pracy do Częstochowy, zainicjowanej przez księdza Jerzego.

W 1986 roku Jadwiga Morawiecka zwróciła się do mnie z prośbą, abym pojechała z nią do Suchowoli – rodzinnej parafii księdza Jerzego – na mszę świętą za Ojczyznę oraz aby odwiedzić rodziców księdza Jerzego Popiełuszki w Okopach w Jego rodzinnym domu. Natychmiast wyraziłam zgodę i wraz z Jadwigą Morawiecką i jej córką Marią, Teresą Łyżwą i moim synem Leszkiem Biegańskim pojechaliśmy do Suchowoli i Okopów. Zostaliśmy przyjęci bardzo gościnnie przez mieszkańców Suchowoli, jak również przez rodziców księdza Popiełuszki

w Okopach. Z tego pierwszego spotkania i kilku następnych w domu rodzinnym księdza Jerzego i w Izbie Jego Pamięci istnieją nasze wpisy do ksiąg pamiątkowych.

Od tej pory zaczęliśmy systematycznie wyjeżdżać na msze święte do Suchowoli, organizując kilkuosobowe delegacje członków „Solidarności” Politechniki Wrocławskiej – pracowników Instytutu Chemii i Technologii Nafty i Węgla (Michał Haniszewski, Irena Więcek, Grażyna Ginter, ja i bardzo często Jadwiga Morawiecka). Jeździli również członkowie „Solidarności” z Uniwersytetu Wrocławskiego (Adam Drąg, Władysław Kwiatkowski) oraz członkowie Duszpasterstwa Ludzi Pracy z parafii św. Klemensa Dworzaka.

31 sierpnia 1986 roku gościliśmy we Wrocławiu w kościele przy alei Pracy księdza Stanisława Suchowolca, który wraz z innymi kapłanami odprawił mszę świętą w szóstą rocznicę Porozumień Sierpniowych.

Po mszy SB, polując na księdza Stanisława Suchowolca, zatrzymała wielu ludzi, w tym księdza Krzysztofa Gębskiego z Bielska-Białej. Ksiądz Stanisław Suchowolec dopiero po mszy wieczornej w przebraniu opuścił kościół, a następnie aż do nocnego pociągu przebywał u mnie w domu, skąd odwieziono go o kilka stacji dalej, aby uniknąć aresztowania.

Ksiądz Stanisław Suchowolec poprosił mnie o zredagowanie i wydrukowanie drugiego numeru pi-semka pt. „Wierność”, poświęconego księdzu Jerzemu Popiełuszcze. Nie miał już możliwości wy-

drukowania tego numeru, ponieważ został przeniesiony z Suchowoli do Białegostoku, do parafii na Dojlidach. Prośbę tę spełniłam – wyszukałam odpowiednie materiały, a Inicjatywa Wydawnicza „Aspekt” wydrukowała 1000 egzemplarzy tego pi-semka. Podczas pielgrzymki świata pracy w Częstochowie przekazałam księdzu Suchowolcowi cały nakład.

W grudniu 1987 roku odważyliśmy się z Ireną Więcek zwołać w instytucie jawne zebranie członków NSZZ „Solidarność”, którzy przez 6 lat wspierali nas finansowo i organizacyjnie. Składałam członkom „Solidarności” sprawozdanie z tej sześcioletniej trudnej działalności w podziemiu, dziękując wszystkim za niezwykłą ofiarność. Rozliczyliśmy się z wydatków z tytułu składek i okolicznościowych zbiorów pieniędzy.

Ważnym elementem działalności członków związku w I-3 była współpraca z delegacjami z zagranicy. Najczęściej gościliśmy niezwykle odważnych i ofiarnych Francuzów przywożących transporty leków, żywności i odzieży do Kurii Wrocławskiej oraz do innych kościołów (parafia św. Wawrzyńca na ul. Bujwida, parafia św. Klemensa Dworzaka). Prawie w każdym transporcie wśród przywiezionych paczek znajdowały się „trefne materiały” (np. farby drukarskie, matryce, powielacze). Pod czujną obserwacją SB podczas wyładowywania transportów należało bardzo uważać, aby wśród kilkuset paczek nie przegapić tej specjalnie oznaczonej, która zawierała takie materiały. Było to stresujące i zdarzały się bardzo nieprzyjemne sytuacje.

Gościliśmy delegacje z różnych stron Francji i zapewnialiśmy im nocleg. Najczęściej byli to członkowie Komitetu Pomocy Polsce z Béthune na północy Francji. Na prośbę księdza Stanisława Suchowolca po katastrofie w Czarnobylu w 1986 roku skierowaliśmy do Suchowoli jeden transport z żywnością, lekami i mlekiem w proszku. Przyjaźń z tą grupą Francuzów zaowocowała zaproszeniem rodziny księdza Jerzego Popiełuszki do Francji na kilkudniowe uroczystości poświęcone ich synowi.

W 1987 i w 1988 roku brałam udział w plenerach zorganizowanych przez Szymona Mirera w Bańskiej Dolnej koło Zakopanego. Uczestnikami tych plenerów byli: Anna Walentynowicz, Janina Natusiewicz, Szymon Mirer, Jadwiga Morawiecka, Łucja i Jadwiga

■ Rodzice księdza Jerzego Popiełuszki podczas uroczystości poświęconych pamięci księdza Jerzego, Béthune, 27.10.1991



zbiory Cacylii Biegalskiej

Skomorowskie, Lucyna Aulich, Jerzy Wilimowski oraz artyści plastycy z Krakowa. Tam zrodziła się myśl wykonania epitafrum poświęconego księdzu Jerzemu Popiełuszce w rodzinnej parafii w Suchowoli. Projekt został wykonany przez profesor Łucję Skomorowską z Akademii Sztuk Pięknych. Sprawami organizacyjnymi wraz ze mną zajmował się Michał Haniszewski.

Anna Walentynowicz oraz kilka osób z Białegostoku wyjechało do USA, aby tam zbierać pieniądze na sfinansowanie pomnika-epitafrum.

Wrocław zdobywał fundusze w inny sposób. Metodą chałupniczą, po pracy i w nocy, drukowaliśmy cegiełki w instytucie, które rozprowadzaliśmy na uczelni i wśród pielgrzymów w drodze na Jasną Górę. Michał Haniszewski załatwiał zakup i transport bloków marmurowych ze Stronia Śląskiego do Wrocławia.

W 1988 r. uczestniczyłam w sympozjum pt. „W trosce o dom ojczysty”, zorganizowanym przez Annę Walentynowicz w Gdańsku w kościele Najświętszej Marii Panny pod patronatem księdza arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego. Zjechało do Gdańska około 40 osób – działacze podziemnej „Solidarności” z całej Polski, między innymi Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Jadwiga Staniszkis, Seweryn Jaworski, Jerzy Kropiwnicki, Maria Chorażyna, Józef Teliga. Wrocław reprezentowały: Jadwiga Morawiecka i jej córka Anna, Zofia Nowicka i ja. Podczas obrad jednej z sesji obecny był Lech Wałęsa, który omówił aktualną sytuację w kraju oraz przedstawił pomysł utworzenia Komitetów Obywatelskich.

27 lutego 1989 r. Lech Wałęsa przybył do Wrocławia i spotkał się z członkami „Solidarności” na Uniwersytecie Wrocławskim, w Hali Ludowej, a wieczorem uczestniczył w mszy świętej za Ojczyznę w kościele św. Klemensa Dworzaka przy alei Pracy. Przygotowaniami do tej wizyty zajmowali się członkowie Duszpasterstwa Ludzi Pracy, szczególnie Michał Haniszewski.

25 maja 1990 roku odwiedził Wrocław premier Tadeusz Mazowiecki, który pierwsze kroki skierował do parafii św. Klemensa Dworzaka przy alei Pracy, gdzie został entuzjastycznie powitany. Premierowi wręczono album z dokumentacją podziemnej walki z władzą komunistyczną środowiska robotniczego i całej społeczności Wrocławia.

14 października 1990 roku w kościele św. Piotra i Pawła w Suchowoli odbyło się poświęcenie pomnika-epitafrum księdza Jerzego Popiełuszki. Na tę uroczystość przybyło wiele delegacji z całej Polski, między innymi członkowie „Solidarności” z Politechniki Wrocławskiej (głównie z I-3), Uni-



wersytetu Wrocławskiego oraz członkowie Duszpasterstwa Ludzi Pracy z parafii pw. św. Klemensa Dworzaka.

27 października 1991 roku Komitet Pomocy Polsce z Béthune we Francji, z okazji dziesiątej rocznicy działalności i 200. transportu wysyłanego do Polski, zorganizował wspólną uroczystość poświęconą pamięci męczeństwa księdza Jerzego Popiełuszki. Na tę uroczystość zaproszono rodziców i rodzinę księdza Jerzego, Łucję Częścik z Osolineum oraz mnie.

Władze miasta Béthune nazwały jedną z ulic imieniem księdza Jerzego Popiełuszki, a podczas uroczystej mszy świętej oraz na koncertach i wielu spotkaniach śpiewały – specjalnie zaproszone na tę uroczystość – Poznańskie Słowiki pod dyрекcją Stefana Stuligrosza.

W kilkudniowych uroczystościach poświęconych księdzu Jerzemu wzięło udział wiele ważnych osobistości, między innymi wiceminister obrony Francji Jacques Mellick, ambasador Polski we Francji Jerzy Łukaszewski, konsul generalny w Lille Jerzy Bukowski, rektor Misji Polskiej z Paryża, merowie miast północnej Francji, przedstawiciele Polonii francuskiej oraz wielu innych znakomitych gości. Dwie wrocławianki – Łucja Częścik i Cecylia Biegańska, dziękując Francuzom za dary ich serca, wręczyły uczestnikom spotkań skromny wyraz wdzięczności – zaprojektowane przez Danutę Błahut-Biegańską okolicznościowe pocztówki z wyrazami szacunku i podziękowania członkom Komitetu Pomocy Polsce z Béthune.

Szerzący się kult księdza Jerzego Popiełuszki i niezwykła przyjaźń, jaka zawiązała się pomiędzy rodzicami i rodziną księdza Jerzego Popiełuszki a grupą ich przyjaciół z Wrocławia, zaowocowały wieloma spotkaniami na uroczystościach poświęconych księdzu Jerzemu – patronowi „Solidarności”. Członkowie NSZZ „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej, Uniwersytetu Wrocławskiego, Kolejowej Służby Zdrowia, Solidarności Nauczycielskiej i Duszpasterstwa Ludzi Pracy

z parafii św. Klemensa Dworzaka wielokrotnie uczestniczyli w tych spotkaniach i pielgrzymkach. Wyjazdy takie były organizowane 3 razy w roku – na msze święte w rocznicę śmierci księdza Jerzego (19 X) – do Warszawy, w dniu jego imienin (23 IV) – do Warszawy, oraz na pielgrzymki świata pracy do Częstochowy, jak również do Białegostoku, Suchowoli i Okopów.

Członkowie „Solidarności” z I-3 w tych pielgrzymkach i mszach świętych za Ojczyznę brali czynny udział – udokumentowanych jest ponad 20 wyjazdów do Suchowoli i Okopów, uczestnictwo w ponad 30 uroczystościach u grobu księdza Jerzego Popiełuszki i w mszach świętych w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu w Warszawie; 18 razy uczestniczone w Pielgrzymce Ludzi Pracy do Częstochowy. Za każdym razem podczas tych uroczystości składano wieńce w imieniu Komisji Zakładowych NSZZ „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej i Uniwersytetu Wrocławskiego. Podczas każdego wyjazdu do Suchowoli grupa wrocławska pamiętała również o zamordowanym księdzu Stanisławie Suchowolcu, uczestnicząc w jego pogrzebie i w rocznicowych mszach świętych.

Przypomniane fakty i kilkuletnie zmagania stanowią wkład pracowników Instytutu Chemii i Technologii Nafty i Węgla w przemiany, jakie nastąpiły w Ojczyźnie w ciągu 25 lat od powstania „Solidarności”.

O tym, jak bardzo ważny dla mnie i przyjaciół z instytutu był ten okres wspólnej działalności, świadczy fragment wiersza napisanego w 2002 roku:

*I nadszedł czas „Solidarności” –
Dla nas prawdziwe święto,
A był to piękny zryw wolności,
Chłop i robotnik wraz z inteligentem.
I wtedy cała Polska wstała...*

*.....
Właśnie się tego władza bała!
Pamiętam trzynastego grudnia,
Gdy stan wojenny wprowadzono,
Pamiętam rozpacz, żal, bezsilność,
Gdy strajk w uczelniach ogłoszono.
A potem ZOMO i ataki,
Pacyfikacja na uczelniach,
Aresztowania profesorów,
Aresztowania wśród studentów...
To wszystko tkwi gdzieś w moim sercu
To wszystko żyje – serce czuje,
Bo nasz wysiłek zmarnowano,
Dziś tego skutki – a winy czyje?*

CZERWONA WODA W RURACH (CIEPŁOWNICZYCH)

Ryszard Śnieżyk

Wszystko zaczęło się niespodziewanie.

Kiedy byłem na wczasach rodzinnych w ośrodku Politechniki w Międzygórzu w sierpniu 1980 roku, gruchnęła wiadomość, że pół Polski strajkuje.

28 sierpnia (pomimo urlopu) z dużymi problemami dotarłem do instytutu I-13. Ludzie zastanawiali się, co w tej sytuacji zrobić. Inicjatywa zwołania zebrania wyszła z kręgu pracowników technicznych i warsztatu. Pierwszą próbę zorganizowania zebrania pan dyrektor profesor Roman Koch spacyfikował.

Ponieważ ktoś musiał podjąć ryzyko i zwołać zebranie, podpisałem się pod ogłoszeniem. Pan dyrektor tuż przed rozpoczęciem odwołał mnie na bok i zaczął przekonywać, abym nie robił głupstw i nie występował razem z technikami. Mówił, że powinienem się zastanowić nad skutkami, a poza tym będzie podwyżka 200 złotych. Nie uległem presji i zebranie się odbyło. Napisałem list z poparciem dla strajkujących. Wyznaczono trzy osoby, które miały przekazać nasz list do Zajezdni nr VIII przy ul. Grabiszyńskiej.

1 września byliśmy w zajezdni, gdzie już był dostępny protokół z Porozumieniami Gdańskimi. Zapoznałem się z procedurą powołania NSZZ „Solidarność”. Pierwszym warunkiem było wystąpienie z ZNP, następnie należało zwołać zebranie organizacyjne.

Zebranie w instytucie zwołałem 3 września. Dyrektor nie ustawał w wysiłkach stordowania przedsięwzięcia. Zaprosił na zebranie przedstawicieli ZNP Wojciecha Myśleckiego i Andrzeja Pszonkę, którzy przekonywali, że powoływanie nowego związku nie jest potrzebne, bo ZNP w maju zgłosiło wiele ważnych żądań do władz, między innymi transmisji mszy w Polskim Radiu.

NSZZ „Solidarność” przy Instytucie Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych Politechniki Wrocławskiej powołały 62 osoby i fakt ten został zgłoszony w siedzibie „Solidarności” przy placu Czerwonym oraz zarejestrowany pod numerem 9, a ja zostałem wybrany na przewodniczącego Komitetu Założycielskiego.

Parę dni później Tomek Wójcik zwołał zebranie, na którym byli przedstawiciele kilku instytutów. Powołano Komitet Założycielski, w którym zostałem wiceprzewodniczącym do spraw organizacyjnych. Próbowałem (z różnym skutkiem) informować pracowników o działalności nowego związku. Nie było to łatwe. Mogłem wydawać komunikaty, które mieściły się na jednej kartce. Przepisywała je Jadzia Szymonik, a każda taka kartka musia-



■ Ryszard Śnieżyk

ła być potwierdzona przez odpowiednie władze uczelni. Aby maksymalnie skrócić czas rozpowszechniania informacji, w momencie uzyskania zgody na publikację cały „nakład” był już gotowy (dzięki pomocy pracowników Zakładu Graficznego, a szczególnie Pani Basi Chojnackiej).

Odbýwały się zebrania organizacyjne w poszczególnych jednostkach, na których przedstawiciele Komitetu Założycielskiego informowali i pomagali w powoływaniu ogniw związku.

27 listopada żona urodziła syna i moja aktywność musiała się zmniejszyć. Byłem przezywany RSHA, czyli urząd do spraw czystości rasy (to z czasów II wojny światowej, i raczej obraźliwe), gdyż uważałem, że osoby, które działały w ZNP, nie powinny firmować nowej organizacji. Dotyczyło to między innymi Wojtka Myśleckiego i Andrzeja Pszonki, którzy kandydowali do Komitetu Założycielskiego, a ja nie mogłem im zapomnieć akcji przeciw „Solidarności” w pierwszych dniach września ’80.

13 grudnia 1980 roku odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze, ale już do władz uczelnianych związku nie kandydowałem. Po dwóch i pół miesiąca do „Solidarności” przystąpiło około 6900 osób na 7500 pracowników Politechniki. Entuzjazm był ogromny.

Pozostałem przewodniczącym w Instytucie Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych. Najważniejszą sprawą była obrona pracowników oraz walka o ich podmiotowe traktowanie. Zbierałem opinie od pracowników na temat warunków pracy oraz tego, co im przeszkadza. Burzę wywołało wywieszenie listy postulatów do wiadomości publicznej.

Presja dyrektora, profesora Romana Kocha, na ujawnienie, kto co napisał, była olbrzymia. Najbardziej drażliwą sprawą było zatrudnienie emerytowanego wojskowego pułkownika Franciszka Muchy na stanowisku zastępcy dyrektora do spraw administracyjnych, a właściwie fakt pobierania przez niego pensji wyższej, niż pozwalały na to przepisy. Pan pułkownik musiał zwrócić część swoich pensji.

Niemal w każdej jednostce Politechniki na takich stanowiskach pracowali emerytowani wojskowi, nie wyłączając generała Mieczysława Mazura, który był dyrektorem administracyjnym Politechniki Wrocławskiej. Zastanawiam się, co oni robili na uczelni? Czy tylko dorabiali?

Wszystko toczyło się niemal normalnie, ale do czasu.

Tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego poszedłem do Marka Muszyńskiego, który był wiceprzewodniczącym Komitetu Założycielskiego, z propozycją jakiegoś przygotowania się do strajku generalnego. Marek stwierdził, że będziemy stosować bierny opór. Wtedy tego nie zrozumiałem, gdyż mój charakter był inny.

Wprowadzenie stanu wojennego było dla mnie szokiem. Byłem odcięty na Nowym Dworze od uczelni i nie uczestniczyłem w strajku. Nie wiem, czy jako legalista bym się na to odważył.

Po uruchomieniu komunikacji chodziłem do pracy w ocieplaczu, gdyż byłem przekonany, że mnie zamkną. Stało się to 4 stycznia 1982 roku. Pan porucznik SB Bełcik zjawił się z milicjantem (z karabinem) oraz kierowcą jako świadkiem około godz. 21.30. Przeszukano mieszkanie, zabrano maszynę do pisania oraz mnie. Esbek zapewniał, że szybko wrócę do domu. Niepomny na przestrogi kolegi Andrzeja Grzegorzcyka, który spędził parę dni w areszcie za fotografowanie szturm na Fadro-mę, nie zabrałem ze sobą pasty do zębów oraz papieru toaletowego.

Wylądowałem w świetlicy Komendy Wojewódzkiej Milicji przy Podwalu. Było bardzo wiele osób. Wezwano mnie na przesłuchanie. Pierwsze pytanie dotyczyło legitymacji „Solidarności”, których wówczas nie było. Wypytywano mnie o poglądy i inne osoby. Starałem się lawirować, ale dzisiaj nie jestem w stanie ocenić, na ile udało mi się zmylić esbeka. Osadzono mnie w celi dwuosobowej, ale noco-wało nas tam pięciu. To był koszmar.

Drugiego dnia otrzymałem decyzję o internowaniu i zostałem



przewieziony „na kłęczki”, czyli do więzienia przy ul. Kleczkowskiej. Tam cele nauki polskiej były sześćoosobowe. Rodzina dowiedziała się, gdzie jestem, dopiero po tygodniu.

Po dwóch tygodniach, w ostatniej grupie, otrzymałem prowiant na dwa dni i – jako jeden z 13 w kibitce – wyprawiony zostałem w nieznaną. Dotarliśmy do więzienia dla małych (pierwszy raz skazanych) w Nysie, w obszarze przygranicznym. Po incydencie podczas przysięgi wojskowej w jednostce, która przylegała do więzienia, dotknęły nas sankcje, jakich nawet skazani na śmierć nie dostępują. Za wywieszenie na oknach białych ręczników z napisem „Solidarność” oraz koncert przy otwartych oknach pieśni niepodległościowych zakazano spacerów, odwiedzin, paczek. Pacyfikacja też nie była przyjemna.

Po czterech miesiącach wróciłem do domu.

To nie były wszystkie skutki mojej aktywności związkowej. Pierwszą okazją, którą chciano wykorzystać, była rotacja. Wiedziałem, że nie mam szans na obronę doktoratu na Politechnice Wrocławskiej w terminie. Wybrałem drogę trudną, ale skuteczną. Obroniłem się na Politechnice Warszawskiej. Potem zaczęły się „schody”.

Pomimo spełnienia wszystkich warunków do przemianowania na adiunkta (łącznie ze spełnieniem wymogu wprowadzonego trzy miesiące wcześniej o stażu w gospodarce narodowej, trwającego minimum pół roku) nie było to łatwe. Rada Instytutu była za (16:1:1), ale przedstawiciele organizacji społecznych, czyli PZPR i ZNP, byli przeciwni. Sekretarz POP, doktor Czesław Bryszewski, zwołał w mojej sprawie zebranie partyjne. Pomimo wahań przyjąłem zaproszenie, aby się dowiedzieć, o co chodzi. Towarzysz sekretarz zadał mi pytanie: „Jak wyobrażam sobie nauczyciela akademickiego?”. W pierwszej chwili się roześmiałem, ale przeszła mi wesołość, kiedy zauważyłem poważne miny gremium, łącznie z towarzyszem Zdzisławem Sysakiem, który w imieniu KU dozorował, czy robi się wszystko, aby mnie wyrzucić. Powiedziałem, że przekazuję wiedzę popartą doświadczeniem, zdobywaną w MPGC, i próbuję wychowywać przez przykład konsekwentnego postępowania. Wówczas towarzysz Zdzisław Kawala stwierdził: „W ustawie o szkolnictwie wyższym jest wymóg, że kształcić należy w duchu socjalistycznym, a pan (o mnie) jest wrogiem socjalizmu!”.

Zamiast przyznać się, że byłem młody, głupi i nie wiedziałem, co robię (jak mi doradzał jeden ze starszych, życzliwych profesorów), nie okazałem pokory. Powiedziałem, że SB trzymało mnie prawie cztery miesiące i gdyby coś znaleźli, to byłbym po wyroku. Ponadto nie wiem, dlaczego tak „szanowne” gremium zajmuje się moją skromną

osobą. Zapytałem, czy mam mówić studentom na zajęciach, że w rurach (ciepłowniczych) płynie czerwona woda? Zebranie przegłosowało (bez mojej obecności) wniosek o zobowiązaniu I sekretarza do podpisania wniosku o przemianowanie mnie na stanowisko adiunkta.

Doszedłem do wniosku, że działalność w „pierwszej »Solidarności«” to wystarczające doświadczenie życiowe, i poświęciłem się rodzinie oraz pracy dydaktycznej i zawodowej.

Dzisiaj, kiedy się zastanawiam, jaki jest bilans i owoce tamtych wydarzeń, pomimo że wtedy miałem nadzieję, iż po 25 latach życie będzie lepsze, niż jest teraz, to uważam, że było warto. Cena, jaką zapłaciłem ja i moja rodzina za marzenia o wolności i sprawiedliwości, była bardzo wysoka, ale chyba zrobiłbym tak samo.

CZY WARTO BYŁO?

Jadwiga Szymonik

Była końcówka wakacji 28 sierpnia 1980 roku, kiedy rozpoczęły się akcje protestacyjne na Politechnice Wrocławskiej. Pracowałam wtedy w Instytucie Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych. Gdy dowiedziałam się o strajku komunikacji miejskiej, pomyślałam – jak się dostanę na drugi koniec Wrocławia (mieszkałam wtedy na Muchoborze Małym). W instytucie zaczęło wrzeć. Wielu pracowników zebrało się, żeby podzielić się swoimi spostrzeżeniami i uzyskać od innych może świeższe informacje. Chcieliśmy zorganizować zebranie, ale początkowo dyrektor instytutu nie wyrażał zgody. W końcu kiedy do zebrania doszło, pojawili się na nim również przedstawiciele ZNP, którzy zniechęcali nas do tworzenia nowego związku. Ale po brzegi wypełniona sala nie dała się przekonać i podjęła uchwałę o przekazaniu poparcia na piśmie dla strajkujących i zarejestrowaniu Komitetu Założycielskiego przy I-13. Wydelegowano trzy osoby, które zawiozły przygotowane poparcie do Komitetu Strajkowego w zajezdni przy ul. Grabiszyńskiej. Następnie przedstawiciele kilku instytutów spotkali się w Instytucie Chemii, gdzie został powołany Komitet Założycielski z Tomkiem Wójcikiem na czele. Zaczęli się oni spotykać w Instytucie I-13 w budynku C-6, gdzie pracowałam, i podrzucali mi zawsze coś do pisania – a to pismo, a to komunikat, i tak się zaczęło. Kiedy 4 września wychodzili na spotkanie do Jego Magnificencji Rektora profesora Tadeusza Porębskiego w sprawie lokalu i etatu, zapytali, czy zechciałabym pracować w „Solidarności”. Odpowiedziałam, że tak. W godzinach popołudniowych wie-



■ Jadwiga Szymonik

działałam już, że rektor przyznał lokal i etat dla mnie. Przyjęłam tę propozycję z radością, chociaż dyrektor instytutu, w którym pracowałam, zwlekał ze zgodą do ostatniej chwili.

Praca w Komisji Zakładowej rozpoczynała się rano i trwała do wieczora. Przyjmowanie deklaracji przystąpienia do „Solidarności”, obsługa kolportażu, techniczne organizowanie zebrań, przepisywanie na maszynie, powielanie materiałów informacyjnych, przyjmowanie dziesiątków telefonów dziennie – każda z tych czynności mogłaby wypełnić dzień pracy jednej osoby. I jeszcze trzeba było znaleźć czas na przyniesienie bibuły z Regionu i rozdzielenie jej na jednostki organizacyjne. Na szczęście chętnych do pomocy nie brakowało. Ludzie zgłaszali się do wyładunku transportów niezależnych wydawnictw z Warszawy, Krakowa i innych miast.

W pierwszych tygodniach „Solidarności”, a nawet miesiącach, praca przy kolportażu była nieustająca. Ludzie stali po kilka godzin w kolejkach po wydawnictwa, m.in. „Archipelag Gułag”, „Zniewolony umysł” Czesława Miłosza. Były to wydawnictwa bez cenzury, drukowane w trudnych warunkach – rozchodziły się w kilka minut. Ludzie byli spragnieni wiedzy, toteż okres powstania „Solidarności” pamiętam jako epokę rozpowszechniania niezależnych wydawnictw. Ich jakość pozostawiała wiele do życzenia, ale bogactwo tematów było ogromne.

Nie mniejszym powodzeniem cieszyły się znaczki oraz gipsowe popiersia Józefa Piłsudskiego i Władysława Sikorskiego.

Komisja Zakładowa starała się zaspokajać zapotrzebowanie na niezależną informację. Zaopatrywała związkowców (a tym samym ogół zainteresowanych) w niezależne publikacje sprowadzane z całego kraju. W działalność tę spontanicznie

zaangażowało się bardzo wiele osób, szeregowych członków związku i studentów, ale przodowali tu Danusia Szczepańska z Warszawy i Wiesiek Jastrzębski z Gliwic, studenci Uniwersytetu Wrocławskiego, którzy w wyładowanych plecakach wozili literaturę z drugiego końca Polski kilka razy w tygodniu. A przecież w czasach PRL za kolportaż niezależnego słowa w każdej chwili mogło grozić zatrzymanie, a nawet aresztowanie.

W związku z tak dużym zapotrzebowaniem Prezydium KZ podjęło decyzję o uruchomieniu własnego wydawnictwa. Odpowiedzialnymi za zorganizowanie byli wiceprzewodniczący Marek Muszyński i ja. Później dołączył Krzysz Sosna. Zdążyliśmy załatwić maszyny, kilka ton papieru, ale z powodu wprowadzenia stanu wojennego wydawnictwo nie zdążyło się w pełni rozwinąć.

Na „Solidarności” przy Politechnice Wrocławskiej, jako jednej z najsilniejszych w Regionie, spoczywały szczególne obowiązki. W czasie tzw. wydarzeń bydgoskich na przykład na naszej uczelni powstało rezerwowe centrum kierowania strajkiem regionalnym.

W ostatnich miesiącach 1981 roku napięcie w kraju ustawicznie rosło. Coraz wyraźniej widoczne było, że władza dąży do rozwiązań konfrontacyjnych. Środowisko akademickie w Polsce szczególnie poruszone zostało sprawą niedemokratycznego mianowania rektora w WSI w Radomiu oraz rozbiciem strajku w WSOP w Warszawie.

W dniach 11-12 grudnia 1981 roku w Gdańsku odbyło się posiedzenie Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, po którym społeczeństwo oczekiwało uspokojenia sytuacji w kraju. Tymczasem w nocy z 12 na 13 grudnia władze rozpoczęły aresztowania czołowych działaczy związku. Tak rozpoczął się w Polsce stan wojenny.

Niedzielę 13 grudnia – dzień próby – wspominam jako moment niecodzienny, zmieniający nasze życie. Nie mogłam od razu, jak wielu naszych pracowników, pojechać na uczelnię. Mieszkałam na Muchoborze Małym i byłam praktycznie odcięta od świata.

Gdy w poniedziałek rano z wielkim trudem dotarłam do pracy, dowiedziałam się o strajku w Gmachu Głównym. Dlaczego tam, a nie w D-1, gdzie znajdowała się siedziba Komisji Zakładowej? – nurtowało mnie pytanie.

Zadzwoeniłam zatem do Uczelnianego Komitetu Strajkowego. Telefon odebrał Marek Muszyński, który poradził mi, żebym została w D-1, bo ktoś musi informować przychodzących do Komisji Zakładowej członków związku. Wkrótce przyszedł Zbyszek Zubel, członek Prezydium, zaraz po nim zjawił się świętej pamięci Rysiek Chabelski, i nasza trójka podjęła decyzję, że będziemy w budynku D-1

Komitetem Strajkowym. Mnie powierzyli łączność z Uczelnianym Komitetem Strajkowym oraz informację, sami zajęli się organizacją strajkowej, zabezpieczeniem budynku, organizowaniem łączności z innymi strajkującymi zakładami.

Do południa, choć napięcie wśród nas było wyczuwalne, nic się nie działo. Ludzie zaczęli nam przywozić żywność, pewien rolnik podarował kilkadziesiąt litrów mleka w konwi i białe ser, od innych dostaliśmy mnóstwo konserw – jedzenia było tyle, że musieliśmy na zapasy przeznaczyć jedną salę wykładową.

Wraz z prowiantem docierały do nas informacje o tym, co się dzieje w mieście i w zakładach pracy; dowiedzieliśmy się, że Politechnika jest jedynym strajkującym zakładem w okolicy. Studenci zaczęli wkrótce przynosić pierwsze komunikaty z RKS-u, dzięki którym nasza wiedza o sytuacji strajkowej znacznie się poszerzyła.

Wieczorem, po mszy, kiedy część ludzi poszła już spać, przybiegł do pokoju Komisji Zakładowej student z wiadomością, że z miasta jadą kawalkady milicyjnych aut – na pewno do nas. Żeby to sprawdzić, wyszliśmy ze Zbyszkim Zubelem na ostatnie piętro budynku, ale żadnych samochodów nie dostrzeżliśmy. Dopiero po chwili wiadomość się potwierdziła: faktycznie, jadą na nas! Ale minęli budynek D-1, który przecież nie tonął w mroku, i sunęli dalej – na A-1. Natychmiast chwyciłam za telefon, w Uczelnianym Komitecie Strajkowym nikt już jednak nie odpowiadał, na portierni też nie, dopiero na bramie bocznej od Norwida odebrał telefon ktoś, kogo nie znałam, kto w dodatku odpowiadał niegrzecznie. Powinnam była się zorientować, że to nikt z naszych, a ja naiwna informowałam go, że „już na was jadą”.

Z naszego budynku było widać poruszenie wokół A-1. Wiedzieliśmy, że dzieje się tam coś złego, ale wszystkiego dowiedzieliśmy się już po fakcie. Gdzieś między godziną piątą a szóstą nad ranem przyszli profesor Andrzej Wiszniewski, Andrzej Olszewski i Bernard Afeltowicz z NZS-u. Najwyraźniej przybici tym, co zaszło, zaczęli opowiadać, jak ZOMO wpadło, jak biło i wyrzucało ludzi na ulicę, że zginął człowiek, a potem poprosili nas, byśmy poszli do domów. Nikt tego apelu nie posłuchał, wszyscy zostali.

Około godziny dziesiątej przyszła kolejna delegacja z bardziej już oficjalnym apelem: profesor Tadeusz Zipser, wtedy wciąż jeszcze urzędujący rektor, profesor Andrzej Wiszniewski, profesor Krzysztof Pigoń i Wojtek Myślecki. Spotkanie odbyło się w holu, a profesorowie zaczęli nas namawiać, byśmy się rozeszli, bo szkoda ludzi, szkoda kosztownej aparatury, dla której ZOMO nie miało żadnego szacunku. Nie byliśmy do końca przekonani, ale autorytet władz uczelni zadziałał, mimo że tu i ów-

dzie dały się jeszcze słyszeć głosy, by położyć się na podłodze i „niech nas wyniosą”.

Odśpiewaliśmy „Boże, coś Polskę” i rozeszliśmy się do domów. W drodze powrotnej przejeżdżałam koło Pafawagu, gdzie też już było po pacyfikacji, otoczenie fabryki sprawiało potworne wrażenie. Profesorowie mieli rację – ZOMO nie miało szacunku dla nikogo i niczego.

16 grudnia pojechałam na uczelnię. Nie miałam złudzeń, że wyrzucą mnie w najbliższych dniach z pracy. Następnego dnia przyszła komisja inwentaryzacyjna, której przekazywałam majątek znajdujący się w Komisji Zakładowej. Kończyliśmy właśnie spis, gdy wpadła grupa kilkunastu panów, był z nimi Wojtek Myślecki, i zaczęli z szaf wyrzucać resztki mniej ważnych papierów, kilka gipsowych miniatur Piłsudskiego i Sikorskiego. Zgarnęli to wszystko w prezydialne zielone sukno leżące na stole, zabrali mi dowód osobisty i oznajmili, że zabierają mnie ze sobą. Najpierw jednak przeszukali wszystkie pomieszczenia, szafy, biurka i natarczywie ciągle pytali, gdzie są pozostałe materiały i dokumenty. Stanowczo i bez wahania odpowiadałam, że są zniszczone. W końcu, po prawie 2 godzinach, oddali mój dowód osobisty, mówiąc, że i tak mnie dopadną. Wyszli, zabierając pozostałości materiałów wrzucanych do zielonego sukna.

21 grudnia poszłam do Gmachu Głównego. Na korytarzu spotkałam profesora Wiszniewskiego, który zapytał, co robię i gdzie pracuję. Odpowiedziałam, że zostałam bez pracy. Profesor poprosił mnie do swojego gabinetu, pomimo że bardzo się spieszył, gdyż wyjeżdżał do Warszawy. Wziął telefon i zadzwonił do dyrektora działu osobowego z prośbą o znalezienie mi miejsca pracy. Ten przekazał, abym zgłosiła się do jego działu następnego dnia rano. Wieczorem z telewizji dowiedziałam się, że profesor Andrzej Wiszniewski został odwołany z funkcji prorektora. Ja natomiast otrzymałam od dyrektora działu osobowego trzy propozycje, z których wybrałam pracę w Pionie do spraw Studenckich, gdzie pracowałam do 1989 roku.

Jeszcze tygodnia nie przepracowałam w pionie, kiedy zajęta pisanie matrycy „Z dnia na dzień” zastaje mnie ubek o nazwisku Horaczuk, z którym miałam już do czynienia podczas inwentaryzacji w D-1. Na szczęście był mało spostrzegawczy, chciał rozmawiać z dyrektorem. Zresztą on i jego koledzy często do nas zaglądali, bo wciąż chcieli informacji o studentach. Po pewnym czasie ich wizyty nam po prostu spowszedniały.

W tych początkowych dniach po wprowadzeniu stanu wojennego członkowie „Solidarności”, a na uczelni było ich dużo, bo aż około 7200, spotykając mnie na korytarzu, pytali, co mają teraz robić,

gdzie płacić składki, gdzie można zdobyć bibułę, wydawnictwa, informacje o zatrzymanych i internowanych. Na dobrą sprawę to oni wciągnęli mnie do pracy w podziemiu.

Studenci zaczęli mi w swych przepastnych plecakach przynosić bibułę, wydawnictwa, znaczki, zdjęcia, które zwozili do akademików. Zwłaszcza do T-19, gdzie była jedna z najbardziej wyrozumiałych i tolerancyjnych kierowniczek, która bardzo im pomagała. Czuli się tam bezpiecznie, chociaż ona też była narażona na różne konsekwencje, włącznie z pozbawieniem pracy. W jej akademiku było gaszenie światła i zapalanie świec między godziną 21 a 21.15, pacyfikacja akademika, częste wizyty SB. Groziło to rozwiązaniem akademika, jednak do tego nie doszło. Po wielu latach kierowniczką T-19 Ala Oleszkiewicz przeszła na zasłużoną emeryturę, zaczęła malować piękne obrazy, portrety, i na pewno często myślami wraca do tamtych dni. Dla niej dobrych, a może złych?

Przynoszone przez studentów (i nie tylko przez nich) materiały musiały gdzieś chować, pełne było już biurko, niewielka kasa pancerna, zatem resztę upychałam w... pokoju dyrektora, który przez kilka lat jakoś to znosił, udając, że niczego nie widzi.

Przychodziły do mnie tłumy „nieodpowiednich” osób, a mój szef dobrze wiedział, że przychodziły w sprawach związkowych, które nie sprowadzały się tylko do kolportażu gazetek czy zakazanych książek. Bo chodziło i o składki, i o zapomogi dla naszych członków, i o pomoc dla rodzin internowanych i uwięzionych, i o rozdzielenie biuletynu na wszystkie Komisje Oddziałowe. Trzeba by jeszcze wspomnieć o „dziale obsługi” podziemnego ruchu wydawniczego, bo przez moje ręce przechodziły też matryce, sita, farby, a nawet części do maszyn poligraficznych. Ba! Znoszono też prowiant – konserwy, kielbasy – który pakowano i rozwożono po domach. Kurierami byli najczęściej studenci. Na szczęście smutnym panom goszczącym często w gabinecie dyrektora nie przyszło nigdy do głowy przeprowadzenie rewizji.

Po latach Marek Nowakowski tak opisuje jeden z naszych punktów kontaktowych w Warszawie:

BARDOTKA

Sklep tu od dawna. Krakowskie Przedmieście, kilka kroków od Oboźnej. Państwowy, z kobiecymi ciuchami. W latach 70. zaczęli się pojawiać w państwowym handlu ajenci. Oddawano im sklepy w dzierżawę. Konrad był jednym z pionierów tego prywatno-socjalistycznego dziwactwa handlowego. Eks-sportowiec, waterpolo, kadra narodowa, trener na basenie Legii. Potężny, zwalisty mężczyzna o wyglądzie weterana wypraw wikingów.

Bardotka (bo tak się nazywał ów sklep) Konrada jako miejsce w mieście zaistniała po strajkach sierpniowych 80. roku. Konrad bardzo aktywny w „Solidarności”, szef czy wiceszef krajowego związku. Jednak apogeum Bardotki nastąpiło w stanie wojennym. Fasada i zaplecze. Fasada to konfekcja damska: bluzki, sweterki, sukienki, bielizna. Zwiewne, kolorowe łąszki.

Konrad w wielkich dłoniach atlety trzyma zwiewne obłoki kobiecej bielizny i rozprawia o niej z subtelnym znawstwem. Oboje z żoną świetni jako fachowcy – niezwykle grzeczni, przyjaźni (w tamtych czasach grzeczna obsługa to jeszcze był szok), po prostu znawcy. Jeszcze to niezwykle oko Konrada; wiedział doskonale, jaki rozmiar; radził trafnie w kwestii kolorów. Perfekcyjny w tej roli, żarciki, pogaduszki, klientki przepadały za nim. Jego żona natomiast rzeczowa, poważna. Harmonijnie dopełniali się wzajemnie.

A za fasadą... Otóż na zapleczu w wąskim niby kiszka pomieszczeniu mieściła się baza wojennej „Solidarności”. Przemyślnie poukrywane pliki bibuły. „Tygodnik Wojenny”, „Tygodnik Mazowski”, „Wola”. Odezwy, ulotki, znaczki. Książki NOW-ej, C.D.N. Istny skład. Przychodzili kolporterzy, łącznicy, działacze.

Konrad głęboko zaangażowany w działalność podziemnych struktur. Obserwowany, zatrzymywany, przesłuchiwany i co tam jeszcze z udręk tamtych lat. Rozgrzewał się walką z bezpieczeństwem. Budził się w nim wojownik. Brał udział w każdej demonstracji, pochodzie.

I znów wracamy na fasadę. Normalny sklep. Klienci, sprawna, grzeczna obsługa.

– Jak dla pani... – Konrad mruży oko, przypatruje się figurze kobiety – ... fiolet najbardziej twarzowy. A rozmiar... Sklep Bardotka na Królewskim Trakcie był stałym etapem mego postoju podczas łązgi. Najnowsze wiadomości, ciągły optymizm Konrada.

■ Sklep Bardotka przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie



foto: Konrad Siller

Jego różnorodne inicjatywy. Dotąd przechowywuję maleńką broszurę z czarną wroną na okładce. To moje opowiadanie „Życie hordy”, którego podziemne wydanie w 1984 r. jest zasługą Konrada. Przyszedł czas zbierania owoców. Okrągły Stół, wybory, upojenie zwycięstwem. Konrad porzucił sklep, choć żyłkę do handlu miał niewątpliwą. Sklep zmienił ajenta. Nomen omen: nowy nazywał się Bóldyn, jak tytuł książki Putramenta. Natomiast Konrad oddał się wyłącznie działalności politycznej. Został szefem kancelarii sejmowego klubu naszej reprezentacji. Namiętności, gorączka różnorakich działań. Po uszy w tym pogrążony. Spotkałem go niedawno. Zgorzkniał, sposepniał. Niemalą rolę odegrała w tym tragedia osobista. Stracił żonę, z którą przez wiele lat stanowili jedność. Lecz nade wszystko boleśnie doświadczył polityki. Jego zgorzknienie i pesymizm to przypadek człowieka uczciwego, pragnącego usilnie prawdy i czystości intencji w polityce. Nie zaznał tego w swoich kilkuletnich doświadczeniach i paląc mnóstwo papierosów, mówi o tym wszystkim gniewnie, z odrazą. Bardotka stała się dla mnie pustym miejscem. Nie znaczy już nic.

Pod koniec lutego 1982 roku otrzymałam wejściówkę na proces „politechniczny”. Nie opuściłam żadnej z trzynastu rozpraw. Było to wielkie przeżycie, czekaliśmy przed każdą rozprawą na korytarzu, żeby ich – postawionych pod sąd wojenny naszych kolegów z uczelni – przywitać oklaskami, kwiatami. Byliśmy z nimi do końca. Kiedy zapadł wyrok o ich uniewinnieniu, poszliśmy pod bramę więzienia, aby dopilnować, czy na pewno ich wypuszczono. Następny był proces Władka Frasyniuka, a ostatni Ani Szczepanik, którą po kilku miesiącach odsiadki uniewinniono, których również nie opuściłam.

W ostatnich dniach kwietnia 1982 roku pojawiła się idea powołania grupy organizującej działalność związku, zainicjowana przez Tadeusza Huskowskiego. Grono to utworzyło Uczelnianą Komisję Koordynacyjną, która podjęła się koordynacji działań związkowych i różnych form oporu społecznego na Politechnice Wrocławskiej. Jej formalnym przewodniczącym, a przede wszystkim liderem o niekwestionowanym autorytecie był Tadeusz Huskowski. Chociaż działałam niezależnie od UKK, przedstawiałam jej co roku rozliczenie finansowe, natomiast pozostałe decyzje podejmowałam jednoosobowo, obsługując kilka jednostek organizacyjnych, zaopatrując je w bibułę, informacje, wydawnictwa itp. Co nie znaczy, że nie kontaktowałam się z przewodniczącym UKK Tadeuszem Huskowskim oraz innymi członkami. Otrzymywałam od nich również bibułę oraz inne wydawnictwa.

Z chwilą odejścia Tadeusza odczuliśmy wielką pustkę. Brakowało nam jego mądrych wskazówek, ciepłych rozmów, dobrych rad, brakowało nam tej uspokajającej aury, jaką wokół siebie rozciągał. UKK funkcjonowała już od tej chwili bez przewodniczącego.

W dzień pogrzebu, który odbył się 1 września 1984 roku, w 45. rocznicę wybuchu II wojny światowej, nad jego grobem odbyła się wielka uroczystość. Była sobota, cmentarz na Sępolnie, upał, mrowie ludzi, także tych ukrywających się i ryzykujących zatrzymanie. Ale tamtego dnia ryzyko wpadki zupełnie się nie liczyło, najważniejsze było oddanie hołdu wielkiemu człowiekowi. Do dziś mam przed oczami biały brzozyowy krzyż, zwyczajowo stawiany poległym powstańcom, do dziś brzmi mi w uszach wspomnienie profesora Wiszniewskiego, ...nasze miasto było prawdziwą solidarnościo-
wą twierdzą. W tej twierdzy Tadeusz był wszystkim: członkiem sztabu przywódczego, jak i zwykłym obrońcą, nieustraszoną i gotową do wykonania każdego zadania, które uznano za niezbędne (...), do dziś widzę białoczerwone wieńce układające się w literę S i w symbol Solidarności Walczącej.

Już w 1988 roku zaczęli się spotykać nie tylko członkowie byłego Prezydium, ale także autorytety uczelniane: profesor Andrzej Wiszniewski, profesor Krzysztof Pigoń, profesor Marian Suski, doktor Tomasz Wójcik, docent Zbigniew Pohl. Wiem, że rozmawiali z rektorem profesorem Janem Kmitą, by zezwolił na bardziej jawną działalność, i taką zgodę uzyskali. Rektorowi profesorowi Janowi Kmicie „Solidarność” wiele zawdzięcza, łącznie z tym, że tak szybko mogła zalegalizować swój powrót na Politechnikę.

Na początku 1989 roku doszło do szerszego, nieformalnego spotkania grona działaczy, pokój udostępnił docent Zbigniew Pohl w D-1. A po kolejnym zebraniu zadzwonił do mnie przewodniczący Komisji Zakładowej Tomasz Wójcik i spytał, czy nie wróciłabym na poprzednie stanowisko w biurze Komisji Zakładowej. Nie mogłam od razu rzucić pionu studenckiego, bo zbliżała się inauguracja nowego roku akademickiego i miałam mnóstwo obowiązków. Stało się więc na tym, że „Solidarnością” zajmę się na pół etatu, a na cały przejdę po przekazaniu swoich obowiązków. I tak też się stało. Od rektora dostaliśmy pomieszczenia na parterze w C-7. Zaczęły się tam odbywać prezydia, przygotowywano zebranie wyborcze, gromadziliśmy deklaracje tych, którzy postanowili dochować wierności „Solidarności”. Słowem: po kilkuletniej przerwie zaczęła się codzienna, mozolna praca związkowa, która nie miała w sobie nic z romantycznej aury i nie ma większej potrzeby, by o niej wspominać, bo na co dzień weryfikują ją nasi członkowie.

Warto jeszcze z kilku powodów przypomnieć o tym, jak przenosiliśmy siedzibę. Gdy zaproponowano nam pokoje po Komitecie Uczelnianym PZPR, nie wszyscy z Prezydium przyjęli to z entuzjazmem. Rozpoczęliśmy prace remontowe, w pełnej tajemnicy przed ogółem członków, za to bardzo szybko. Kiedy doszło do uroczystego otwarcia i tradycyjnego poświęcenia, które można by odebrać jako symboliczny gest przegonienia diabła, szok był ogromny, bo nikomu się w głowie nie mieściło, że „Solidarność” zgodziła się przejąć pomieszczenia po TAKIM poprzedniku.

Dziś pewnie mało kto pamięta, że w tych pokojach snuli się przed laty towarzysze, którzy wierzyli w to, że zbawiają świat.

Czy i my nie wprowadzaliśmy się tu z takim przekonaniem? To oczywiście, ale jestem pewna, że my mieliśmy do takiego poczucia pełne prawo. „Solidarność” sprawiła bowiem, że żyjemy teraz w kraju wolnym i demokratycznym. I my, związkowcy z Politechniki Wrocławskiej, możemy być dumni z tego, że wnieśliśmy w to dzieło swój duży wkład.

Na zakończenie tych wspomnień muszę podziękować Bogu za to, że zetknął mnie przez te 25 lat z wieloma wspaniałymi ludźmi. Niewielką część z nich wymieniam tu i kieruję do nich słowa gorącej wdzięczności:

Nigdy nie miałam okazji podziękować Panu Profesorowi Andrzejowi Wiszniewskiemu za to, że mogłam dalej pozostać i pracować na Politechnice Wrocławskiej. Czynię to teraz.

Bardzo, bardzo dziękuję za Pana dobre serce, za ludzkie podejście, za to, że sprawy ludzi są Pana sprawami, a problemy innych Pana problemami. Przekonałam się o tym ponownie, leżąc w szpitalu, gdy Pan, będąc rektorem, mając ogrom obowiązków, pamiętał i miał czas zapytać, jak się czuję, czy trzeba mi w coś pomóc.

Jeszcze raz dziękuję, gdyż Takich ludzi jest mało.

Mam jedyną okazję, żeby serdecznie podziękować ludziom, z którymi miałam przyjemność współpracować w podziemiu lub otrzymać od nich pomoc: śp. Tadeuszowi Huskowskemu, Markowi Muszyńskiemu, śp. Marii Wyzgowej, śp. Tadeuszowi Stysiakowi, Kasi Wyzgowej, Krysi Ciekot, Donacie Muszyńskiej, Ryszardowi Jasińskiemu, Kosmanowi Suchowskiemu, Urszuli Janus, Urszuli Płuciennik, Andrzejowi Soleckiemu, Januszowi Stankiewiczowi, Janinie Wilhelm, braciom Romanowi i Janowi Jasickim, Marii i Januszowi Nożyńskim, Krzysiu Sośnie, Wojtkowi Stefanikowi, Ryszardzie i Michałowi Bieganowskim, Darkowi Godlewskiemu, śp. Kazimierzowi Wójcikowi, Jasiowi Pawłowskiemu, Januszowi Drozdowskiemu,

Wojtkowi Myśleckiemu, Gabryeli Januszewskiej, Ryszardowi Czochowi, Reni Błaszczyńskiej oraz tym bezimiennym nieznanym, których nazwisk nie pamiętam.

Dziękuję moim byłym i obecnym szefom: Tomaszowi Wójcikowi, Januszowi Biernatowi, Witoldowi Jabłońskiemu oraz Ryszardowi Wroczyńskiemu, którzy mieli i mają cierpliwość mnie znosić. Pragnę też złożyć podziękowania członkom Prezydium w poszczególnych kadencjach oraz pracownikom sekretariatu Komisji Zakładowej.

Była to przyjemność spędzić z Wami te krótkie 25 lat życia.

Teraz, zbierając materiał do opracowania tej książki, przerzucam poźółłkę, zniszczone, a w większości mało czytelne kartki różnych wydawnictw, zdjęć, znaczków pocztowych i bibuły. Wracam wspomnieniami do tamtych letnich sierpniowych dni 1980 roku i tej mroźnej nocy z 13 grudnia 1981 roku, gdy trwały w Polsce masowe aresztowania, bo wołą reżimu PRL było zdławienie związku „Solidarność” oraz szczególnej więzi, jaką była solidarność międzyludzka. Zadaję sobie przy tym pytanie: czy warto było poświęcić mojej „Solidarności” 25 lat życia? I natychmiast nasuwa mi się odpowiedź: Tak, warto było!!!

■ Przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej w okresie 25 lat. Od lewej: Tomasz Wójcik, Janusz Biernat, Jadwiga Szymonik, Witold Jabłoński, Ryszard Wroczyński i pierwszy pracownik Komisji Zakładowej Jadwiga Szymonik



archiwum Komisji Zakładowej